



OPOWIEŚĆ O LUKE'U STONIE—TOM 1

WSZELKIE
NIEZBĘDNE
ŚRODKI

JACK MARS

Jack Mars
Wszelkie Niezbędne Środki

Серия «Опове́сть о
Luke'u Stonie», книга 1

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43694087

*WSZELKIE NIEZBĘDNE ŚRODKI OPOWIEŚĆ O LUKE'U STONIE—TOM 1:
ISBN 9781632916099*

Аннотация

Po tym, jak w środku nocy dżihadyści kradną odpady nuklearne z niestrzeżonego szpitala w Nowym Jorku, policja, ścigając się z czasem, powiadamia FBI. Luke Stone, szef elitarnej tajnej jednostki FBI, jest jedyną osobą, do której mogą zwrócić się o pomoc. Luke natychmiast domyśla się, że terroryści zamierzają skonstruować brudną bombę i rzucić ją na bardzo ważny obiekt w ciągu najbliższych 48 godzin. Trwa zabawa w kotka i myszkę, podczas której najbardziej doświadczeni agenci muszą zmierzyć się z najbardziej wyrafinowanymi terrorystami. W miarę odkrywania kolejnych warstw tajemnicy agent Stone orientuje się, że ma do czynienia z daleko sięgającym spiskiem, którego cel jest o wiele ważniejszy, niż Luke się spodziewał – wszystko prowadzi do Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kiedy Luke zostaje wrobiony w przestępstwo, cały jego zespół jest zagrożony, a jego własna rodzina wpada w niebezpieczeństwo, gra zaczyna toczyć się o najwyższą

stawkę. Jednak jako były komandos sił specjalnych Luke nie raz był w trudnej sytuacji i nie podda się, dopóki nie powstrzyma przestępców – korzystając ze wszelkich niezbędnych środków. Pełna zwrotów akcji fabuła opowiada o człowieku, który musi zmierzyć się z armią przeszkód i spisków oraz przekroczyć własne granice, co prowadzi do szokującego punktu kulminacyjnego. **WSZELKIE NIEZBĘDNE ŚRODKI** to polityczny thriller z akcją przyspieszającą bicie serca, która rozgrywa się na dramatycznej międzynarodowej scenie i utrzymuje czytelnika w stałym napięciu. To początek nowego wybuchowego cyklu, który sprawi, że będziesz przewracać kartki do późnych godzin nocnych. II tom serii poświęconej Luke'owi Stone'owi ukaże się już wkrótce.

Содержание

CZEŚĆ PIERWSZA	7
Rozdział 1	7
Rozdział 2	15
Rozdział 3	26
Rozdział 4	29
Rozdział 5	35
Rozdział 6	39
Rozdział 7	43
Rozdział 8	49
Rozdział 9	56
Rozdział 10	70
Rozdział 11	76
Rozdział 12	87
Rozdział 13	96
Rozdział 14	99
Конец ознакомительного фрагмента.	102

JACK MARS

WSZELKIE NIEZBĘDNE ŚRODKI OPOWIEŚĆ O LUKE'U STONIE—TOM 1

Jack Mars

Jack Mars jest zapalonym czytelnikiem i dozgonnym wielbicielem thrillerów. WSZELKIE NIEZBĘDNE ŚRODKI to debiutancka powieść Jacka. Jack z niecierpliwością czeka na Twoją opinię, więc odwiedź www.Jackmarsauthor.com i zapisz się do listy mailingowej, aby otrzymać darmową książkę i gadżety oraz dołączyć do grona fanów na Facebooku czy Twitterze i być na bieżąco!

Copyright © 2015 by Jack Mars. Wszystkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o ochronie praw autorskich z 1976 roku (United States Copyright Act of 1976) żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, rozpowszechniana ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania

informacji bez uprzedniej zgody autora. Niniejszy e-book jest przeznaczony wyłącznie do użytku osobistego. Niniejszy e-book nie może być odsprzedany lub odstąpiony innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z innym czytelnikiem, dokonaj zakupu dodatkowego egzemplarza dla każdego z nich. Jeśli czytasz tę książkę, ale jej nie zakupiłeś lub nie została ona zakupiona specjalnie dla Ciebie, powinieneś ją oddać i zakupić kopię dla siebie. Dziękujemy za poszanowanie ciężkiej pracy autora. Niniejsza książka jest utworem literackim. Wszystkie nazwy, postaci, przedsiębiorstwa, organizacje, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autora lub są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe. Zdjęcie na okładce: Copyright wavebreakmedia i Michael Rosskothen, użyte w ramach licencji Shutterstock.com.

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

5 czerwca, 1:15 rano
Hrabstwo Fairfax, Wirginia – przedmieścia
Waszyngtonu, DC

Zadzwoił telefon.

Luke Stone leżał gdzieś pomiędzy snem a jawą. Obrazy rozbłyskiwały w jego umyśle. Była noc nad zalewaną strugami deszczu opustoszałą autostradą. Ktoś był ranny. Wrak samochodu. Z oddali szybko nadjeżdżał ambulans. Wyły syreny.

Otworzył oczy. Na szafce nocnej w ich ciemnej sypialni dzwonił telefon. Obok stał cyfrowy zegarek. Zerknął na czerwone cyfry.

– Jezu... – szepnął. Spał może pół godziny.

Jego żona, Rebecca, odezwała się zaspanym głosem: – Nie odbieraj.

Pukiel jej blond włosów wystawał spod koców. Delikatne niebieskie światło z nocnej lampki docierało z łazienki i oświetlało pokój.

Podniósł słuchawkę.

– Luke – odezwał się głos. Był to głos głęboki i gburowaty, z

ledwo słyszalnym południowym akcentem. Luke znał ten głos aż za dobrze. Właścicielem głosu był Don Morris, jego były szef z Jednostki Szybkiego Reagowania.

Luke przeczesał włosy ręką. – Tak?

– Obudziłem cię? – zapytał Don.

– Jak myślisz?

– Nie dzwoniłbym do ciebie do domu, ale twoja komórka była wyłączona.

Luke odburknął: – To dlatego, że ją wyłączyłem.

– Mamy problem, Luke. Potrzebuję cię.

– Powiedz mi, co się dzieje.

Słuchał, co mówi do niego głos. Po chwili poczuł to dobrze znane uczucie – uczucie w żołądku, kiedy winda nagle zjeżdża o 50 pięter. Pewnie dlatego rzucił tę robotę. Nie dlatego, że często ledwo uchodził z życiem, nie dlatego, że jego syn szybko dorastał, ale właśnie dlatego, że nie lubił tego uczucia w żołądku.

To od wiedzy robiło mu się niedobrze. Wiedza go przytłaczała. Pomyślał o milionach ludzi wiodących gdzieś tam szczęśliwe życie, ogarniętych błogą niewiedzą o tym, co się dzieje. Zazdrościł im ich ignorancji.

– Kiedy to się stało? – zapytał.

– Jeszcze nic nie wiemy. Godzinę temu, może dwie. Szpital zauważył naruszenie zabezpieczeń jakieś 15 minut temu. Mają braki w personelu, więc na ten moment wygląda to na robotę kogoś z wewnątrz. Sytuacja może się zmienić, kiedy wkroczy lepszy wywiad. NYPD zgłupiało do reszty, z oczywistego

powodu. Wezwali dwa tysiące posiłków, ale jak dla mnie, to nie wystarczy. Większość z nich nawet nie dotrze na miejsce przed końcem zmiany.

– Kto powiadomił NYPD? – zapytał Luke.

– Szpital.

– Kto powiadomił nas?

– Komendant policji.

– Powiadomił jeszcze kogoś?

– Nie. Tylko nas.

Luke pokiwał głową.

– Okej, dobrze. Utrzymajmy ten stan rzeczy. Policja musi zabezpieczyć miejsce zbrodni. Tylko niech nie przekraczają ogrodzenia. Nie chcemy, żeby na coś nadepnęli. Muszą też trzymać to z dala od mediów. Jeśli to się dostanie do gazet, będzie cyrk.

– Załatwione i załatwione.

Luke westchnął. – Założmy, że mają dwugodzinną przewagę. Niedobrze. Są kawał drogi przed nami. Mogą być wszędzie.

– Wiem. NYPD obserwuje mosty, tunele, metra, koleje podmiejskie. Sprawdza też dane z budek pobierających opłaty na autostradach, ale to jak szukanie igły w stogu siana. Nikt nie ma takiej siły roboczej, która by sobie z tym poradziła.

– Kiedy będziesz na miejscu? – zapytał Luke.

Don odpowiedział bez zastanowienia: – Teraz. A ty idziesz ze mną.

Luke ponownie spojrzął na zegarek. 1:23.

– Mogę być za pół godziny na lądowisku dla helikopterów.

– Już wysłałem samochód – powiedział Don. – Przed chwilą odebrałem meldunek od kierowcy. Będzie u ciebie w ciągu 10 minut.

Luke odłożył słuchawkę.

Na wpół rozbudzona Rebecca wsparła głowę na łokciu i przyglądała się Lukowi. Jej długie włosy opadały na ramiona, a gęste rzęsy skrywały błękitne oczy. Była chudsza na twarzy niż tego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkali się w college'u. Mijający czas wyrzeźbił jej rysy troską i zmartwieniem.

Luke tego żałował. Paliła go myśl, że wykonywane przez niego zadania sprawiały jej ból. To był kolejny powód, dla którego odszedł z pracy.

Pamiętał, jaka była, kiedy byli młodzi – zawsze roześmiana, uśmiechnięta. Bez troska. Minęło mnóstwo czasu, od kiedy ostatnio widział ją taką. Liczył na to, że czas bez pracy załagodzi rany, ale postęp był powolny. Oczywiście, zdarzały się przebłyski prawdziwej Becci, ale były krótkotrwałe.

Wiedział, że nie wierzyła w całą sytuację. Nie wierzyła *jemu*. Czekwała na ten telefon w środku nocy, na ten, który on będzie musiał odebrać. Czekwała, aż odłoży słuchawkę, wstanie z łóżka i wyjdzie z domu.

To była dobra noc. Przez kilka godzin było tak jak za dawnych czasów.

A teraz to.

– Luke – zaczęła. Jej gniewne spojrzenie było nieprzyjemne.

Wiedział, że to będzie trudna rozmowa.

Luke szybko wstał z łóżka, trochę dlatego, że wymagała tego sytuacja, a trochę dlatego, że chciał opuścić dom, zanim Becca pozbiera myśli. Wślizgnął się do łazienki, ochlapał twarz wodą i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Czuł się rozbudzony, ale jego oczy były zmęczone. Ciało miał muskularne i silne – dowód na to, że przez cały ten wolny czas cztery razy w tygodniu odwiedzał siłownię.

„39 lat” – pomyślał. – „Nieźle”.

Z górnej półki w garderobie zdjął metalową kasetkę i z pamięci wprowadził 10-cyfrową kombinację. Pokrywa odskoczyła. Wyjął 9-milimetrowego Glocka i wepchnął go do skórzanej kabury pod pachą. Przykucnął i przywiązał mały pistolet kalibru .25 do swojej lewej łydki. Podwójny uchwyt w kształcie kastetu.

– Myślałam, że miałeś już nie trzymać broni w domu.

Podniósł wzrok i zobaczył obserwującą go Beccę. Jej ciało było ciasno owinięte szlafrokiem, włosy związane, ręce skrzyżowane na piersiach. Na jej twarz wkradł się grymas, a w oczach było widać czujność. Nie było już zmysłowej kobiety sprzed kilku godzin. Już od dawna jej nie było.

Luke potrząsnął głową. – Nigdy tego nie powiedziałem.

Wstał i zaczął się ubierać. Wciągnął czarne spodnie cargo i wrzucił do kieszeni kilka zapasowych magazynków do Glocka. Nałożył obcisłą koszulę sportową i przymocował do niej broń, Nogi wsunął w buty ze stalowymi noskami. Zatrzasnął pudełko z

bronią i wepchnął je z powrotem na półkę na samej górze szafy.

– A co, jeśli Gunner znajdzie to pudełko?

– Jest wysoko, gdzie ani go nie zobaczy, ani nie dosięgnie. Nawet jeśli przypadkiem spadnie, jest zamknięte na cyfrowy zamek. Tylko ja znam kod.

Na wieszaku wisiała torba na ubrania z przygotowaną odzieżą na dwa dni. Złapał ją. Na jednej z półek czekała podręczna torba, w której były spakowane podróżne przybory toaletowe, okulary do czytania, sterta batonów energetycznych i pół tuzina tabletek Dexedrine. Tę torbę też złapał.

– Zawsze gotów, prawda Luke? Masz swoje pudełko z bronią, swoje torby z ciuchami, swoje prochy i jesteś gotowy do drogi w każdej chwili, gdy tylko twój kraj cię potrzebuje. Mam rację?

Wziął głęboki oddech. – Nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć.

– Dlaczego nie powiesz: „Zdecydowałem, że nie jadę. Zdecydowałem, że moja żona i syn są ważniejsi niż praca. Chcę, żeby mój syn miał ojca, a moja żona nie musiała już więcej siedzieć nocami i zastanawiać się, czy żyję, czy nie i czy w ogóle wrócę”. Mógłbyś to zrobić?

W takich chwilach czuł, jak się od siebie oddalają. Niemal mógł to zobaczyć. Malejąca na horyzoncie maleńka postać Becci na rozległej pustyni. Chciał ją odzyskać. Pragnął tego rozpaczliwie, ale nie wiedział, jak to zrobić. Praca wzywała.

– Czy tatuś znowu wyjeżdża?

Obydwoje oblali się rumieńcem. To Gunner stał na górze

trzech schodków prowadzących do jego pokoju. Na widok chłopca Luke na moment wstrzymał oddech. Gunner wyglądał jak Krzyś z książek o „Kubusiu Puchatku”. Jego blond włosy były potargane. Miał na sobie niebieskie spodenki od pizamy, które były pokryte wzorem w żółte księżyce i gwiazdki, oraz koszulkę z logiem „Walking Dead”.

– Chodź tu, potworze.

Luke odłożył torby, podszedł do chłopca i wziął go na rękę. Chłopczyk przytulił się do jego szyi.

– Ty jesteś potworem, tato. Nie ja.

– Dobrze, jestem potworem.

– Dokąd jedziesz?

– Muszę jechać do pracy. Na dzień, może na dwa. Wrócę jednak tak szybko, jak tylko będę mógł.

– Mama cię zostawi, tak jak powiedziała?

Luke trzymał Gunnera na odległość ramienia. Chłopiec rósł i Luke zdał sobie sprawę, że niedługo przyjdzie dzień, w którym nie będzie w stanie trzymać go w ten sposób. Ten dzień jednak jeszcze nie nadszedł.

– Posłuchaj mnie. Mama mnie nie zostawi i będziemy razem bardzo długo. Jasne?

– Dobrze, tato.

Wszedł po schodach i skierował się do swojego pokoju.

Kiedy zniknął, obydwójce wpatrywali się w siebie nawzajem. Dystans zdawał się zmniejszyć. Gunner był mostem między nimi.

– Luke...

Wziął ją za rękę. – Zanim coś powiesz, wysłuchaj mnie. Kocham ciebie i Gunnera ponad wszystko. Chcę być z wami codziennie, teraz i zawsze. Nie wyjeżdżam, bo tak mi się podoba. Wcale mi się nie podoba. Nienawidzę tego. Tylko ten telefon w nocy... Ludzkie życie jest w niebezpieczeństwie. Przez te wszystkie lata, kiedy się tym zajmowałem, ile razy wyszedłem w środku nocy? Zagrożenie drugiego stopnia zdarzyło się dokładnie dwa razy. Większość z nich była stopnia trzeciego.

Twarz Becci odrobinę złagodniała.

– Jaki stopień jest tym razem? – zapytała.

– Stopień pierwszy.

Rozdział 2

1:57 rano

McLean, Wirginia – główna siedziba Jednostki
Szybkiego Reagowania

– Proszę pana? – powiedział ktoś – Proszę pana, jesteśmy na miejscu.

Luke nagle się ocknął. Usiadł. Był w samochodzie zaparkowanym przed lądowiskiem dla helikopterów. Padał drobny deszcz. Spojrzał na kierowcę – młody chłopak, obcięty na języka, pewnie dopiero co wyszedł z wojska. Dzieciak się uśmiechał.

– Zdrzemnął się pan.

– Prawda – odpowiedział Luke. Znow poczuł na sobie ciężar zadania. Chciał być w domu, zasnąć przy Becce, a zamiast tego był tutaj. Chciał żyć w świecie, w którym mordercy nie kradną materiałów radioaktywnych. Chciał zasnąć i śnić o przyjemnych rzeczach. Na ten moment nie potrafił sobie nawet wyobrazić, czym mogłyby być te przyjemne rzeczy. Jego sen zatruwał nadmiar wiedzy.

Wysiadł z samochodu, pokazał strażnikowi identyfikator i przeszedł przez skaner.

Lśniący czarny helikopter, duży Bell 430, osiadł na placu i czekał z obracającymi się wirnikami. Luke, schylając się nisko, przemierzył mokry asfalt. Kiedy podszedł bliżej, silnik

zmienił bieg. Byli gotowi do drogi. Drzwiczki od strony kabiny pasażerskiej uchyliły się i Luke wspinał się do środka.

Wewnątrz było już sześć osób, cztery w kabinie pasażerskiej i dwie w kokpicie. Don Morris siedział przy oknie. Miejsce naprzeciw niego było puste. Don wskazał na nie.

– Miło, że dołączyłeś, Luke. Usiądź. Przyłącz się do zabawy.

Śmigłowiec poderwał się ku niebu, a Luke szybko zapiął pasy bezpieczeństwa. Spojrzał na Dona. Zestarzał się, a jego przystrzyżone na flat-top włosy zdążyły już posiwieć. Kilkudniowy zarost był siwy. Nawet jego brwi były siwe. Nadal jednak wyglądał jak komandor oddziałów Delta Force, którym był. Jego ciało było silne, a twarz wyglądała jak granitowe urwisko – kamieniste wzniesienia i ostre uskoki. Oczy miał niczym dwa lasery. W kamiennym ręku trzymał niezapalone cygaro. Nie zapalił ani jednego od dziesięciu lat.

Kiedy helikopter nabrał wysokości, Don wskazał na pozostałych siedzących w kabinie pasażerskiej i szybko ich przedstawił. – Luke, jesteś na przegranej, ponieważ wszyscy tu obecni już wiedzą, kim jesteś, natomiast możliwe, że ty nie znasz jeszcze wszystkich. Znasz Trudy Wellington, oficera naukowego i agentkę wywiadu.

Luke skinął głową w kierunku pięknej młodej kobiety o ciemnych włosach i w dużych okrągłych okularach. Pracował z nią wiele razy. – Cześć, Trudy.

– Cześć, Luke.

– Dobrze, gołąbeczki, już wystarczy. Luke, to jest Mark

Swann, nasz specjalista ds. technologii, który będzie z nami pracować podczas tego zadania. Razem z nim jest Ed Newsam – uzbrojenie i taktyka.

Luke skinął głową w kierunku mężczyzny. Swann był białym facetem z jasnymi włosami i w okularach, miał może 35, może 40 lat. Luke spotkał go dotąd raz czy dwa. Newsam był czarnym człowiekiem, którego Luke nigdy przedtem nie widział, miał około trzydziestki, łysy, krótko ostrzyżona broda, wyrzeźbiona sylwetka, szeroka kłata, sześćdziesięciocentymetrowe wytatuowane pytony wyłaniały się spod białego podkoszulka. Wyglądał na takiego, który zgotowałby piekło w strzelaninie, nie wspominając już o walce ulicznej. Kiedy Don powiedział „uzbrojenie i taktyka”, miał na myśli „mięśnie”.

Helikopter wzniósł się na wysokość przelotową (Luke domyślał się, że byli gdzieś dziesięć tysięcy stóp nad ziemią), przeszedł do lotu poziomego i ruszył przed siebie. Przy 150 milach na godzinę wszystko wysychało. Z taką prędkością dotarcie do Nowego Jorku mogło zająć im bite półtorej godziny.

– Dobrze, Trudy – odezwał się Don. – Co dla nas masz?

W ciemnościach zaświecił smartpad, którego trzymała w rękach. Trudy patrzyła na ekran urządzenia, który oświetlał jej twarz i nadawał jej przeraźliwy, nieco demoniczny wygląd.

– Zacznę od początku – powiedziała.

– Słusznie.

Trudy zaczęła wyjaśniać sytuację: – Niecałą godzinę

temu skontaktowała się z nami jednostka antyterrorystyczna nowojorskiej policji. W dzielnicy Upper East Side na Manhattanie znajduje się duży szpital o nazwie Center Medical Center. Jest tam przechowywana znaczna ilość materiałów radioaktywnych, zamknięta w specjalnym sejfie. Większość z nich to odpady powstałe w wyniku radioterapii chorych na raka, choć część jest pozostałością także innych zastosowań, takich jak badania rentgenowskie. Kilka godzin temu ktoś przeniknął do szpitala, złamał system zabezpieczeń i zabrał zmagazynowane tam odpady promieniotwórcze.

– Wiemy, ile tego było? – zapytał Luke.

Trudy zerknęła na tablet. – Co cztery tygodnie materiał był ładowany do ciężarówki i wywożony do odpowiednio zabezpieczonego obiektu w zachodniej Pensylwanii, zarządzanego wspólnie przez Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Departament Ochrony Środowiska Stanu Pensylwania. Następny transport był zaplanowany na pojutrze.

– A więc odpady promieniotwórcze z około 26 dni – powiedział Don. – Ile to jest?

– Szpital nie wie – odpowiedziała Trudy.

– *Nie wie?*

– Odpady są rejestrowane w bazie danych. Ten, kto ukradł odpady, włamał się do bazy i ją wyczyścił. Ilość odpadów w danym miesiącu jest uzależniona od grafiku leczenia i można na jego podstawie odtworzyć rejestr odpadów, ale zajmie to kilka

godzin.

– Nie robią kopii zapasowej bazy danych? – zapytał Swann, sprzętowiec.

– Robią, ale kopia też została usunięta. Tak naprawdę wyczyszczone zostały dane z całego ubiegłego roku.

– Więc ktoś wie, jak pracują – powiedział Swann.

Luke wtrącił się: – Skąd wiemy, że to sytuacja zagrożenia, skoro nie wiemy nawet, co zostało ukradzione?

– Jest kilka powodów – odpowiedziała Trudy. – To więcej niż kradzież. To był dobrze przeprowadzony zaplanowany atak. Kamery monitorujące w strategicznych punktach szpitala zostały wyłączone. Te punkty to między innymi kilka wejść i wyjść, schody, windy towarowe, sejf i parking.

– Czy ktoś rozmawiał z ochroną? – zapytał Luke.

– Dwaj strażnicy, którzy obsługiwali monitoring, zostali znalezieni martwi w zamkniętej szafie ze sprzętem. Jeden ze strażników to Nathan Gold, pięćdziesięciosiedmioletni biały mężczyzna, rozwiedziony, troje dzieci. Druga osoba to Kitty Faulkner, trzydziestotrzyletnia czarna kobieta, niezamężna, jedno dziecko. Żadne z nich nie miało powiązań ze zorganizowaną przestępczością czy organizacjami eksternistycznymi. Gold pracował w szpitalu przez dwadzieścia trzy lata. Faulkner pracowała tam przez osiem lat. Z ich ciała zdjęto mundury. Zostali uduszeni, o czym świadczą przebarwienia na twarzy, opuchlizna, urazy szyi oraz ślady podwiązania wskazujące na śmierć w wyniku uduszenia lub

podobnej techniki. Mogę pokazać zdjęcia.

Luke uniósł rękę. – Nie trzeba. Załóżmy na moment, że zrobił to mężczyzna. Czy mężczyzna mógł zabić panią ochroniarz i założyć jej mundur?

– Faulkner była wysoka – powiedziała Trudy. – Miała pięć stóp i dziesięć cali wysokości i była potężna. Jej mundur bez problemu pasowałby na mężczyznę.

– Czy to wszystko, co mamy?

Trudy mówiła dalej: – Nie. Obecnie w personelu brakuje jednego z pracowników szpitala, który miał w tym czasie zmianę. Jest nim Ken Bryant, jeden ze strażników. To dwudziestodziewięcioletni czarny mężczyzna, który spędził rok w areszcie tymczasowym w Rikers Island, a następnie trzydzieści miesięcy w zakładzie karnym Clinton w Dannemora w Nowym Jorku. Skazano go za kradzież i napaść. Zanim wyszedł, odbył sześciomiesięczny program resocjalizacyjny i praktyki zawodowe. Pracował w szpitalu przez prawie cztery lata i cieszył się dobrą opinią. Brak problemów z frekwencją czy wykroczeń dyscyplinarnych.

– Jako strażnik ma dostęp do sejfu z niebezpiecznymi odpadami, może też znać praktyki z zakresu bezpieczeństwa oraz personel szpitala. Kiedyś miał kontakty z handlarzami narkotyków i z afrykańsko-amerykańskim gangiem więziennym, znanym jako Black Gangster Family. Handlarze narkotyków byli drobnymi dilerami ulicznymi w sąsiedztwie, gdzie dorastał. Prawdopodobnie związał się z gangiem dla własnego

bezpieczeństwa.

– Myślisz, że może za tym stać gang więzienny albo uliczny?

Potrząsnęła głową. – W żadnym razie. Wspomniałam o powiązaniach Bryanta, ponieważ nadal nie mamy co do niego pewności. Otwarcie bazy danych i wyczyszczenie jej zawartości, a także włamanie się do systemu nadzoru wideo wymaga wiedzy technicznej, której na ogół nie zdobywa się na ulicy czy w więziennym gangu. Myślimy, że poziom wyrafinowania i skradzione materiały sugerują uśpioną komórkę terrorystyczną.

– Do czego mogą wykorzystać chemikalia? – zapytał Don.

– Od razu widać, że to broń radiologiczna – odpowiedziała Trudy.

– Brudna bomba – powiedział Luke.

– Bingo. Nie ma innego powodu, dla którego kradnie się odpady radioaktywne. Szpital nie wie, ile tego zostało skradzione, ale wie, co tam było – iryd-192, cez-137, tryt i fluor. Iryd jest wysoce radioaktywny, a ekspozycja na nadmierne dawki jego promieniowania może wywoływać poparzenia i choroby popromienne w ciągu kilku minut lub godzin. Eksperymenty wykazały, że mała dawka cezu-137 zabija psa ważącego 18 funtów w ciągu trzech tygodni. Fluor jest żrącym gazem, niebezpiecznym dla tkanek miękkich budujących m.in. oczy, skórę czy płuca. Jego bardzo małe stężenia powodują łzawienie. Bardzo duże stężenie wywołuje ogromne obrażenia płuc, powodując tym samym zatrzymanie oddechu i śmierć w ciągu kilku minut.

– Cudownie – powiedział Don.

– Wynikający z tego ważny wniosek – powiedziała Trudy – jest taki, że mowa o wysokich stężeniach. Jeśli jesteś terrorystą, w tym przypadku nie szukasz dużego obszaru rozprzestrzenienia. Będziesz chciał spakować bombę z materiałem radioaktywnym i klasycznymi materiałami wybuchowymi, takimi jak dynamit, po czym będzie ci zależeć na umieszczeniu tego w zamkniętej przestrzeni, najlepiej z mnóstwem ludzi w pobliżu. Zatłoczone metro albo stacja metra w godzinach szczytu. Węzły komunikacyjne takie jak Grand Central Terminal lub Penn Station. Duża pętla autobusowa lub lotnisko. Atrakcja turystyczna, taka jak Statua Wolności. Ograniczone przestrzenie maksymalizują stężenie promieniowania.

Luke wyobraził sobie wąskie, klaustrofobiczne schodki prowadzące na szczyt Statuy Wolności. Każdego dnia było tam mnóstwo ludzi, często też szkolnych wycieczek. Oczami wyobraźni zobaczył Liberty Island z tysiącami turystów i promy, na których ludzie tłoczyli się niczym na łodziach z uchodźcami z Haiti.

Później zobaczył perony na Grand Central Terminal o 7:30 rano, tak zatłoczone, że nie ma gdzie stanąć. Setki ludzi ustawiają się w kolejce na schodach, oczekują na pociąg, po czym peron na moment pustoszeje i przybywa na niego następna grupa dojeżdżających do pracy osób. Wyobraził sobie bombę wybuchającą w tym tłumie.

I wtedy gasną światła.

Przeszła go fala wstrętu. Więcej ludzi niż w początkowej eksplozji, umarłoby w panice i zdeptałoby się nawzajem.

Trudy ciągnęła dalej: – Nasz problem polega na tym, że jest za dużo atrakcyjnych celów, które trzeba obserwować oraz fakt, że atak nie musi nastąpić w Nowym Jorku. Jeśli do kradzieży doszło trzy godziny temu, musimy wziąć pod uwagę obszar o promieniu co najmniej 150 mil. Teren ten obejmuje Nowy Jork i jego przedmieścia, Filadelfię oraz główne miasta w New Jersey, takie jak Newark, Jersey City i Trenton. Jeśli złodzieje pozostaną na wolności przez następną godzinę, trzeba będzie zwiększyć promień tak, aby sięgnął Bostonu i Baltimore. Ten region jest skupiskiem ludności. Przy tak dużym promieniu trzeba będzie obserwować dziesięć tysięcy potencjalnych celów miękkich. Nawet jeśli będą mierzyć w prestiżowe i znane obiekty, nadal jest to kwestia setek miejsc.

– Dobrze, Trudy – powiedział Luke. – Przedstawiłaś nam fakty. Teraz powiedz, jakie masz przeczucia.

Trudy wzruszyła ramionami. – Myślę, że możemy założyć, że jest to atak z wykorzystaniem brudnej bomby i że jest organizowany przez inny kraj lub ewentualnie przez niezależną grupę terrorystyczną jak ISIS czy Al-Ka'ida. Mogą być w to zamieszani Amerykanie lub Kanadyjczycy, ale kontrola operacyjna znajduje się gdzieś indziej. Na pewno nie jest to nasza rodzima grupa ekologów czy białych supremacjonistów.

– Dlaczego? Dlaczego zagraniczna? – zapytał Luke. Wiedział dlaczego, ale trzeba było powiedzieć to głośno, aby postępować

krok po kroku i niczego nie przeoczyć.

– Lewicowcy spalili salony Hummera w środku nocy. Wbijają metalowe pręty w lasy do wycinki, po czym malują przekłute drzewa, więc nikt nie zostaje ranny. Nigdy nie zaatakowali zaludnionych obszarów ani nikogo nie zamordowali, a przy tym nienawidzą radioaktywności. Prawicowcy są bardziej brutalni, na co dowodem jest Oklahoma City, gdzie zaatakowali ludność cywilną oraz przedstawicieli rządu. Jednak żadna z tych grup raczej nie jest odpowiednio przeszkolona. Jest jeszcze jeden dobry powód wskazujący na to, że to najpewniej nie ich działanie.

– Jaki? – zapytał Luke.

– Iryd ma bardzo krótki okres połowicznego rozpadu – odpowiedziała Trudy. – Staje się w większości bezużyteczny w ciągu kilku dni. Ponadto, ktokolwiek go ukradł, musi działać szybko, zanim sam zachoruje na chorobę popromienną. Muzułmański święty miesiąc Ramadan zaczyna się dziś o zachodzie słońca. Dlatego uważam, że atak zbiegnie się z początkiem Ramadanu.

Luke niemal odetchnął z ulgą. Znał Trudy i pracował z nią od kilku lat. Zawsze była inteligenta, a jej zdolność interpretowania sytuacji była wyjątkowa. O wiele częściej miała rację, niż się myliła.

Spojrzał a zegarek. Była 3:15. Zachód słońca najpewniej nastąpi około ósmej wieczorem. Luke szybko obliczył w pamięci. – Więc myślisz, że mamy ponad szesnaście godzin, aby wytropić tych ludzi?

Szesnaście godzin. Szukanie igły w stogu siana to jedno. Jednak jeśli mają szesnaście godzin na zrobienie tego, przy czym mogą korzystać z zaawansowanej technologii i pomocy najlepszych ludzi, sprawa wygląda inaczej. To prawie przewyższało jego oczekiwania i nadzieje.

Trudy potrząsnęła głową. – Nie. Problem z Ramadanem jest taki, że owszem, zaczyna się o zachodzie, ale którym? W Teheranie zachód będzie o 20:24, czyli o 10:54 u nas. A co jeśli wybiorą międzynarodowy początek Ramadanu, np. w Malezji albo Indonezji? Powinniśmy prowadzić obserwację już o 7:24, co nawet ma sens, ponieważ jest to również początek porannych godzin szczytu.

Luke chrząknął i spojrział przez okno na rozciągającą się pod nimi bezkresną oświetloną metropolię. Ponownie zerknął na zegarek. 3:20. Na horyzoncie rysowały się drapacze chmur dolnego Manhattanu, a wyżej dwa niebieskie światła przecinające niebo w miejscu, gdzie kiedyś stało World Trade Center. W ciągu trzech godzin stacje kolejowe i metro zaczną wypełniać się pasażerami dojeżdżającymi do pracy.

Gdzieś tam był ktoś, kto chciał uśmiercić tych wszystkich ludzi.

Rozdział 3

3:35 rano

Wschodnia część Manhattanu

– Wygląda jak szczury – powiedział Ed Newsam.

Śmigłowiec obniżył lot nad East River. Ciemna woda pod nimi płynęła szybko, a na jej powierzchni wznosiły się i opadały niewielkie fale. Luke zrozumiał, co Ed miał na myśli. Woda wyglądała jak tysiące szczurów przebiegające pod czarnym połyskującym kocem.

Zniżali się powoli do lądowiska dla helikopterów na 34 ulicy. Luke obserwował światła budynków po jego lewej, które wyglądały jak milion migoczących w nocy klejnotów. W momencie, kiedy tu dotarli, odczuł presję czasu. Jego serce zamarło. Był spokojny podczas całego lotu, bo co innego mógł zrobić? Jednak zegar tykał, a oni musieli się pospieszyć. Gdyby mógł, wyskoczyłby z helikoptera, zanim wylądują.

Gdy maszyna, podrzucając i trzęsąc pasażerami, w końcu wylądowała, wszyscy natychmiast odpięli pasy. Don szarpnął za drzwi. – Chodźmy – powiedział.

Kłapa podmuchowa znajdowała się dwadzieścia jardów od lądowiska. Trzy SUV-y czekały tuż przy betonowych barierkach. Oddział nowojorskiego SRT wpadł do helikoptera i wylądował worki ze sprzętem. Jeden z mężczyzn wziął podręczny bagaż i torbę na ubrania Luke'a.

– Ostrożnie z tym – powiedział Luke. – Kiedy byłem tu poprzednio, zgubiliście moje torby. Nie będę miał czasu na wypad na zakupy.

Luke i Don wsiedli do pierwszego SUV-a, Trudy wślizgnęła się za nimi. Wnętrze SUV-a było rozsunięte, aby pasażerowie mogli usiąść naprzeciwko siebie. Luke i Don zajęli miejsca przodem do kierunku jazdy, Trudy tyłem. SUV ruszył, zanim zdążyli wygodnie usiąść. W ciągu minuty byli w wąskim kanionie FDR Drive i kierowali się na północ. Żółte taksówki mijały ich co chwilę niczym rój pszczół.

Nikt nic nie mówił. SUV sunął przed siebie wzdłuż betonowych krzywych, przejeżdżał przez tunele pod rozpadającymi się budynkami, uderzał silnie na wybojach. Luke czuł bicie własnego serca. To nie jazda przyspieszyła jego tętno. Zrobiły to przecucia.

– Byłoby miło przyjechać tu dla przyjemności – powiedział Don. – Zatrzymać się w wymyślnym hotelu, obejrzeć występ na Broadwayu.

– Następnym razem – powiedział Luke.

SUV właśnie zjeżdżał z autostrady. To był zjazd z 96 ulicy. Kierowca ledwo zatrzymał się na czerwonym, po czym skręcił w lewo i pognał pustym bulwarem.

Luke patrzył, jak SUV wtacza się z łoskotem na okrągły podjazd do szpitala. Była spokojna noc. Zatrzymali się prosto przed jasno oświetloną izbą przyjęć. Czekał tam na nich mężczyzna w trzyczęściowym garniturze.

– Elegancik – powiedział Luke.

Don szturchnął Luka grubym palcem. – Hej, Luke, przygotowaliśmy dziś dla ciebie małe przyjęcie. Kiedy ostatni raz miałeś na sobie skafander?

Rozdział 4

4:11 rano

Podziemia Center Medical Center, Upper East Side

– Nie za ciasno – powiedział Luke z plastikowym termometrem w ustach.

Trudy przymocowała do nadgarstka Luke'a opaskę przenośnego ciśnieniomierza. Opaska mocno ścisnęła jego nadgarstek, po chwili ścisnęła jeszcze bardziej, po czym sapiąc, zaczęła stopniowo rozluźniać uścisk. Trudy oderwała rzep od opaski na nadgarstku i niemal identycznym ruchem wyciągnęła termometr z ust Luke'a.

– Jak to wygląda? – zapytał.

Spojrzała na wyniki. – Masz podwyższone ciśnienie krwi – powiedziała. – 138 na 85. Tętno spoczynkowe 97. Temperatura 100.4. Nie będę cię okłamywać, Luke. Mogłoby być lepiej.

– Miałem ostatnio trochę stresujących sytuacji – powiedział Luke.

Trudy wzruszyła ramionami. – Wyniki Dona są lepsze od twoich.

– Jasne, ale on bierze statyny.

Luke i Don siedzieli w bokserkach i podkoszulkach na drewnianej ławce. Byli w magazynie w piwnicy szpitala. Dookoła

wisiały ciężkie winylowe zasłony ograniczające przestrzeń. Było zimno i wilgotno, a po plecach Luke'a przeszedł dreszcz. Opróżniony sejf znajdował się dwa piętra niżej.

Wokół kręciło się kilku ludzi z SRT z biura w Nowym Jorku. Ustawiali przed nimi rząd wyświetlaczy i laptopów oraz dwa składane tablety. Był wśród nich też facet w trzyczęściowym garniturze, który okazał się oficerem jednostki antyterrorystycznej NYPD.

Ed Newsam, wielki człowiek od broni i taktyki, którego Luke poznał w śmigłowcu, przedarł się przez winylowe zasłony wraz z dwoma agentami z SRT idącymi za nim i niosącymi przezroczyste pakunki zawierające coś jasnożółtego.

– Uwaga – powiedział głośno Newsam, przerywając rozmowę. Wskazał dwoma palcami na swoje oczy. – Don i Luke, patrzcie na mnie, proszę.

Newsam trzymał dwie butelki wody. – Wiem, że już przez to przechodziliście, ale podejźmy do tego, jakby był to pierwszy raz, aby uniknąć błędów. Ci dwaj mężczyźni sprawdzą wasze skafandry i pomogą je wam założyć. Są to kombinezony stopnia A, wyprodukowane z solidnego winylu i zapewniające ochronę przed niebezpiecznymi materiałami. Jest w nich naprawdę gorąco, a to oznacza, że będziecie się w nich pocić. Więc zanim rozpoczniemy, musicie wypić tę wodę. Później docenicie, że to zrobiliście.

– Czy ktoś był na dole przed nami? – zapytał Luke.

– Dwaj strażnicy zeszli tam, kiedy odkryto naruszenie

zabezpieczeń. Oświetlenie nie działa. Swann próbował je naprawić, ale bez skutku, więc jest tam ciemno. Strażnicy mieli latarki, ale kiedy zobaczyli, że sejf jest otwarty, a wokół leżą porozrzucane kanistry i beczki, wycofali się w pośpiechu.

– Narazili się na promieniowanie?

Newsam się uśmiechnął. – Trochę. Moja córka chce wykorzystać ich jako lampki nocne przez kilka dni. Nie mieli na sobie skafandrów, ale byli tam tylko przez trzy minuty. Wy będziecie tam dłużej.

– Będziesz widział to, co my?

– Wasze maski mają wmontowane wideokamery i światła LED. Będę widział to, co wy i będę to nagrywał.

Minęło dwadzieścia minut, zanim się ubrali. Luke był sfrustrowany. W kombinezonie było bardzo trudno się poruszać. Od stóp do głów był opakowany w winyl i już zaczęło robić mu się gorąco. Osłona na twarz była zaparowana. Czas zdawał się płynąć obok. Złodzieje uciekli już bardzo daleko.

Razem z Donem zjeżdżali powoli zgrzytającą windą towarową. Don trzymał licznik Geigera, który wyglądał jak mały akumulator samochodowy z uchwytem.

– Dobrze mnie słyszycie? – zapytał Newsam. Jego głos rozbrzmiał, jakby był w głowie Luke'a. Maski miały wmontowane głośniki i mikrofony.

– Tak – powiedział Luke.

– Słyszę cię – powiedział Don.

– Dobrze. Słyszę was obydwu głośno i wyraźnie. To

bezpieczne połączenie. Tylko wy, ja i Swann zajmujący się obrazem wideo. Swann ma dostęp do cyfrowej mapy obiektu, a wasze skafandry są wyposażone w urządzenia lokacyjne. Swann widzi was na mapie i będzie wskazywał wam drogę od windy do sejfu. Jesteś tam, Swann?”

– Jestem – powiedział Swann.

Winda zatrzymała się z szarpnięciem.

– Kiedy otworzą się drzwi, wyjdźcie i skręćcie w lewo.

Dwaj mężczyźni przemieszczali się niezdarnie szerokim korytarzem, kierowani przez głos Swanna. Światła z ich hełmów oświetlały ściany i rzucały cienie w ciemnościach. Luke przypomniał sobie, jak kilka lat temu nurkował z akwalungiem w poszukiwaniu wraku statku.

W ciągu kilku sekund licznik Geigera zaczął trzeszczeć. Początkowo stuknięcia odzywały się w długich odstępach czasu, zupełnie jak powolne bicie serca.

– Mamy promieniowanie – powiedział Don.

– Widzimy. Bez obaw. Nie jest źle. To bardzo czuły sprzęt.

Trzaski licznika przyspieszyły i stały się głośniejsze.

Odezwał się głos Swanna: – Za kilka kroków skręćcie w prawo i zróbcie mniej więcej trzydzieści kroków korytarzem. Dojdziecie do dużego kwadratowego pomieszczenia. Po jego drugiej stronie znajduje się sejf.

Kiedy skręcili w prawo, licznik Geigera zaczął trzeszczeć jeszcze głośniej i szybciej. Trzaski zlały się w strumień tak, że trudno było odróżnić pojedyncze dźwięki.

– Newsam?

– Śmiało, panowie. Postarajmy się zrobić to w pięć minut.

Weszli do kwadratowego pomieszczenia. Panował tam istny bałagan. Kanistry, pudła i wielkie metalowe beczki leżały w nieładzie na podłodze. Niektóre były otwarte. Luke skierował światło na sejf po przeciwnej stronie. Ciężkie drzwi były otwarte.

– Widzicie to? – zapytał Luke. – Musiała przejść tędy Godzilla.

Ponownie dało się słyszeć głos Newsama. – Don! Don! Skieruj światło swojej kamery na ziemię, pięć kroków przed tobą. Tam. Trochę dalej. Co tam leży?

Luke odwrócił się do Dona i zaświecił w tym samym kierunku. W odległości dziesięciu kroków od nich, pośród porzucanych przedmiotów, leżało coś wyglądającego jak sterta szmat.

– To ciało – powiedział Don. – Cholera.

Luke podszedł i oświetlił zwłoki. To była potężna osoba, ubrana w coś, co wyglądało jak mundur strażnika. Luke uklękł obok. Na podłodze była ciemna plama, przypominająca wyciek oleju z samochodu. Głowa leżała na boku, odwrócona w stronę Luke'a. Wszystko powyżej oczu zniknęło, czoło zapadło się w krater. Luke sięgnął za tył głowy, szukając mniejszego otworu. Wyczuł go nawet przez grube rękawice ochronne.

– Co masz, Luke?

– Ogromny mężczyzna, 18-30 lat, pochodzenia arabskiego, perskiego lub ewentualnie z obszaru śródziemnomorskiego. Jest

tu mnóstwo krwi. Ma spójne rany wlotową i wylotową po strzale w tył głowy. Wygląda to na morderstwo. Mógł być innym strażnikiem lub jednym z podejrzanych, który pokłócił się ze swoimi kolegami.

– Luke – odezwał się Newsam – przy pasku z narzędziami masz mały cyfrowy skaner linii papilarnych. Spróbuj go wyciągnąć i pobrać odciski tego człowieka.

– Nie sądzę, aby było to możliwe – powiedział Luke.

– No dalej. Rękawice są niewygodne, ale wiem, gdzie jest skaner. Mogę cię do niego poprowadzić.

Luke nakierował swoją kamerę na prawą rękę ofiary. Każdy jego palec był poszarpanym kikutem kończącym się pod pierwszym knykciem. Spojrzał na drugą dłoń. Wyglądała tak samo.

– Zabrali jego odciski ze sobą – powiedział.

Rozdział 5

Luke i Don, ubrani z powrotem w codzienne ubrania, szli szybko szpitalnym korytarzem wraz z eleganckim oficerem z jednostki antyterrorystycznej NYPD. Luke nie pamiętał nawet imienia tego człowieka. W myślach nazywał go Trzyczęściowy. Luke był bliski wydaniu mu swoich rozkazów. Trzeba było działać, a żeby było to możliwe, miasto musiało z nimi współpracować.

Luke zawsze miał do tego tendencję do przejmowania dowodzenia. Zerknął na Dona, a ten wyraził zgodę, kiwając głową, To dlatego Don wezwał Luke'a – aby przejął dowodzenie. Don zawsze powtarzał, że Luke to urodzony rozgrywający.

– Chcę liczniki Geigera na każdym piętrze – powiedział Luke. – Gdzieś na uboczu. Nie wykryliśmy promieniowania do szóstego piętra w dół, ale jeśli zaczniesz się unosić, wszyscy muszą wyjść, i to szybko.

– W szpitalu są pacjenci podłączeni do respiratorów – powiedział Trzyczęściowy. – Mają trudności z poruszaniem.

– Prawda. Zaczynajcie wdrażać plan ewakuacji.

– Dobrze.

Luke kontynuował: – Będzie nam potrzebny całe zespół zajmujący się niebezpiecznymi materiałami. Musimy jak najszybciej wyciągnąć stamtąd te zwłoki, bez względu na to, jak bardzo są skażone. Sprzątanie może poczekać, aż będziemy mieć

ciało.

– Rozumiem – powiedział Trzyczęściowy. – Przełożymy go do trumny z grafitem i przewieziemy do koronera w ciężarówce z osłoną przed promieniowaniem.

– Można to zrobić szybko?

– Oczywiście.

– Musimy znaleźć dopasowanie na podstawie uzębienia, DNA, blizn, tatuaży, śladów pooperacyjnych, lub czegokolwiek, co znajdziemy. Kiedy będziecie mieli dane, prześlijcie je do Trudy Wellington z naszego zespołu. Ona ma dostęp do baz danych, do których nie dostaną się wasi ludzie.

Luke wyciągnął telefon i wybrał numer. Odebrała przy pierwszym dzwonku.

– Trudy, gdzie jesteś?

– Jestem ze Swannem na Piątej Alei, z tyłu jednego z naszych samochodów, w drodze do centrum dowodzenia.

– Słuchaj, mam... – zerknął na Trzyczęściowego. Jak masz na imię?

– Kurt. Kurt Myerson.

– Mam tu Kurta Myersona z NYPD. Jest z jednostką antyterrorystyczną. Wydobędą stamtąd ciało. Odbierzesz od niego informacje o uzębieniu, DNA i wszelkie inne dane identyfikujące. Kiedy je otrzymasz, ustal jego nazwisko, wiek, kraj pochodzenia, powiązania. Chcę wiedzieć o nim wszystko. Muszę wiedzieć, gdzie był i co robił przez ostatnie pół roku. Potrzebuję tego na wczoraj.

– Jasne, Luke.

– Świetnie, dziękuję. Masz Kurta. Da ci swój numer.

Luke przekazał Kurtowi telefon. Chwilę po tym, jak we trzech przeszli przez podwójne drzwi, Kurt oddał telefon Luke'owi.

– Trudy? Jesteś jeszcze ze mną?

– Czy mogłabym być gdzieś indziej?

Luke kiwnął głową. – Dobrze. Jeszcze jedna rzecz. Monitoring na terenie szpitala jest wyłączony, ale w sąsiedztwie muszą być jakieś kamery. Kiedy dotrzesz do centrum dowodzenia, weź kilku naszych ludzi. Niech przeszukają teren w promieniu pięciu bloków od szpitala i wyciągną materiał wideo od, powiedzmy, 20:00 do 1:00. Chcę obejrzeć każdy firmowy lub dostawczy samochód, który przejeżdżał w pobliżu szpitala w tym czasie. Najważniejsze są małe furgony dostawcze, furgonetki z chlebem czy z hot-dogami, wszystko, co jechało tutejszymi ulicami. Wszystko to, co małe, wygodne i co może przewieźć ukryty ładunek. Mniejszy priorytet mają przyczepy ciągnikowe, autobusy czy maszyny budowlane, ale nie przegapcie ich. Najmniej ważne są samochody kempingowe, pickupy i SUV-y. Chcę mieć zdjęcia tablic rejestracyjnych i dane właściciela. Jeśli zauważycie podejrzany pojazd, poszukajcie więcej nagrań, na których został zarejestrowany lub rozszerzcie obszar poszukiwań i dowiedzcie się, dokąd pojechał.

– Luke – powiedziała – będę do tego potrzebować więcej niż kilku ludzi.

Luke zastanowił się nad tym przez dwie sekundy. – Dobrze,

ściągnij ludzi z domów, każ im przyjechać do siedziby SRT i daj im dane tablic rejestracyjnych. Niech śledzą stamtąd właściciele pojazdów.

– Rozumiem.

Rozłączyli się. Luke wrócił myślami do chwili obecnej i wpadł na nowy pomysł. Spojrzał na Kurta Myersona.

– Dobrze, Kurt. Teraz najważniejsze. Musimy zamknąć szpital. Trzeba zebrać i odizolować wszystkich, którzy pracowali na dzisiejszej zmianie. Ludzie będą gadać. Rozumiem to, ale musimy ukryć tę sprawę przed mediami tak długo, jak to możliwe. Jeśli to się wyda, będzie panika, policja odbierze dziesięć tysięcy telefonów z fałszywymi tropami, a te typki obejrzą przebieg całej sprawy w telewizji. Nie możemy na to pozwolić.

Przeszli przez następne podwójne drzwi i weszli do głównego holu szpitala. Cała fasada była szklana. Kilku ochroniarzy stało nieopodal zamkniętych drzwi frontowych.

Na zewnątrz rozgrywało się widowisko. Tłum reporterów napierał na barierki policyjne na chodniku. Paparazzi przywarli do okien i fotografowali wnętrze holu. Wozy transmisyjne były zaparkowane na ulicy w dziesięciu rzędach. W czasie, gdy Luke na to wszystko patrzył, trzech reporterów z różnych stacji TV filmowało ujęcia, stojąc bezpośrednio przed szpitalem.

– Coś mówiłeś?

Rozdział 6

5:10 rano

Wnętrze vana

Eldrick był chory.

Siedział na tylnym siedzeniu w vanie, obejmując podkurczone nogi i zastanawiał się, w co się wpakował. Będąc w więzieniu, spotkał się z wieloma patologiami, ale nie z czymś takim.

Siedzący przed nim Ezatullah rozmawiał przez telefon, krzycząc coś po persku. Rozmawiał już od kilku godzin. Słowa nic nie znaczyły dla Eldricka. Brzmiały jak bełkot. Naprawdę liczyło się to, że Ezatullah szkolił się w Londynie jako inżynier chemik, ale zamiast znaleźć sobie pracę, poszedł na wojnę. Miał trzydzieści kilka lat, szeroką bliznę wzdłuż policzka i, jeśli mu wierzyć, prowadził świętą wojnę w sześciu krajach – do Ameryki przybył w tym samym celu.

Wrzeszczał do słuchawki raz za razem, zanim nawiązał rozmowę. Kiedy w końcu ktoś zgłosił się po drugiej stronie, zaczął od wykrzyczenia kilku argumentów. Po kilku minutach uspokoił się i słuchał, po czym się rozłączył.

Eldrick był czerwony na twarzy. Miał gorączkę. Czuł, jak coś go wypala od wewnątrz. Jego serce waliło jak oszalone. Nie wymiotował, ale robiło mu się niedobrze. Od dwóch godzin czekali w wyznaczonym miejscu przy waterfrontie w South Bronx. To miała być łatwa robota – ukraść materiały, jechać

vanem przez dziesięć minut, spotkać się z kontaktami i odejść. Tyle że kontakty nigdy się nie pojawiły.

Teraz byli... gdzieś. Eldrick nie wiedział, gdzie. Na chwilę stracił przytomność. Przebudził się, ale wszystko przypominało niejasny sen. Byli na autostradzie. Momo prowadził, więc musiał wiedzieć, dokąd jechali. Ekspert w dziedzinie technologii, Momo, ze swoim chudym niewyrzeźbionym ciałem wyglądał na tego, kim był. Był tak młody, że na jego twarzy nie było ani jednej zmarszczki. Wyglądał, jakby nie mógł zapaść brody, nawet gdyby chodziło o samego Allaha.

– Mamy nowe instrukcje – powiedział Ezatullah.

Eldrick jęknął, pragnąc umrzeć. Nie wiedział, że można czuć się tak chorym.

– Muszę wysiąść z tego vana – powiedział Eldrick.

– Zamknij się, Abdul!

Eldrick zapomniał – teraz nazywał się Abdul Malik. Czuł się dziwnie, kiedy ktoś nazywał go Abdul. On, Eldrick, przez większość swojego życia był dumnym czarnym mężczyzną, dumnym Amerykaninem. Czując się tak chorym, jak teraz, żałował, że to zmienił. Zmiana wyznania w więzieniu była najgłupszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił.

Cały ten syf był z tyłu. Było tego mnóstwo, we wszystkich rodzajach kanistrów i pudeł. Niektóre przeciekały i właśnie ich zabijały. Zabiły już Bibiego. Dureń otworzył kanister, kiedy byli jeszcze w sejfie. Był nadzwyczaj silny i wyrwał pokrywę. Dlaczego to zrobił? Eldrick przypomniał sobie Bibiego

trzymającego kanister. „Tu nic nie ma” – powiedział. Potem przysunął sobie to do nosa.

W ciągu minuty zaczął kaszleć. Osunął się na kolana. Za chwilę był już na czterech, kaszłąc.

– Mam coś w płucach – powiedział. – Nie mogę się tego pozbyć. – Zaczął łapać powietrze. Odgłos był okropny.

Ezatullah podszedł i strzelił mu w tył głowy.

– Uwierz mi, wyświadczyłem mu przysługę – powiedział.

Teraz van sunął przez tunel. Długi, wąski i ciemny tunel z pomarańczowymi światłami zwiększającymi się nad głową. Eldrickowi kręciło się w głowie od tych światel.

– Muszę wysiąść z tego vana! – krzyknął. – Muszę wysiąść z tego vana! Muszę...

Ezatullah się odwrócił. Jego pistolet był wycelowany w głowę Eldricka.

– Cicho! Rozmawiam przez telefon.

Rozcięta twarz Ezatullaha była czerwona. Pocił się.

– Zabijesz mnie tak jak Bibiego?

– Ibrahim był moim przyjacielem – powiedział Ezatullah.

– Zabiłem go z litości. Ciebie zabiję, żebyś się zamknął. – Przycisnęła lufę do czoła Eldricka.

– Zastrzel mnie. Nie zależy mi. – Eldrick zamknął oczy.

Kiedy znów je otworzył, Ezatullah był odwrócony do niego plecami. Wciąż jechali tunelem. Światła było za dużo. Nagła fala nudności ogarnęła Eldricka i silny spazm targnął jego ciałem. Ścisnął mu się żołądek i poczuł kwas w gardle. Zgiął się w pół i

zwymiotował na podłogę między własnymi butami.

Minęło kilka sekund. Fala smrodu uderzyła go w twarz i znów zebrało mu się na wymioty.

„Boże” – błagał bezgłośnie – „pozwól mi umrzeć”.

Rozdział 7

5:33 rano

Harlem Wschodni, dzielnica Manhattanu

Luke wstrzymał oddech. Nie przepadał za głośnymi dźwiękami, a właśnie nadchodziła piekielnie wielka fala hałasu.

Stał nieruchomo w ponurym świetle kamienicy w Harlem. W rękę miał broń, a plecami opierał się o ścianę. Ed Newsam stał prawie w takiej samej pozycji. Po obu stronach drzwi do mieszkania na końcu wąskiego korytarza stało pół tuzina członków ekipy SWAT, ubranych w hełmy i kamizelki kuloodporne.

W budynku panowała grobowa cisza. W powietrzu unosił się kurz. Chwilę wcześniej mały robot wsunął pod drzwiami małe obiektywy kamery, aby wykryć ewentualne ładunki wybuchowe po drugiej stronie. Czystko. Robot się wycofywał.

Dwóch ludzi ze SWAT podeszło z ciężkim taranem. Był to taran bujany i policjanci trzymali go z obu stron. Poruszali się bezszelestnie. Dowódca SWAT podniósł pięść i wystawił palec wskazujący.

To oznaczało jeden.

Palec środkowy. Dwa.

Palec serdeczny...

Dwaj mężczyźni cofnęli się i zamachnęli taranem. BUM!

Drzwi eksplodowały do wewnątrz, jak tylko odbił się od

nich taran. Czterech pozostałych wpadło do środka i zaczęło krzyczeć: – Na ziemię! Na ziemię! Na ZIEMIĘ!

Gdzieś w korytarzu zaczęło płakać dziecko. Uchyliły się drzwi i pojawiły się w nich głowy, po czym szybko się schowały. To była jedna z cech tej okolicy. Czasem po prostu przychodzi policja i wyważa drzwi u sąsiada.

Luke i Ed odczekali trzydzieści sekund, aż SWAT zabezpieczy mieszkanie. Ciało leżało na podłodze w salonie, dokładnie tak jak Luke się tego spodziewał. Popatrzył na nie tylko przez chwilę.

– Teren czysty? – zwrócił się do dowódcy SWAT. Facet rzucił mu krótkie spojrzenie. Kiedy Luke dowodził tym zespołem, doszło do małego nieporozumienia. To byli ludzie z NYPD. Nie byli figurami szachowymi, które federalni mogą przesuwać, jak im się podoba, bo taki akurat mają kaprys. Chcieli, żeby Luke o tym wiedział. Luke to rozumiał, ale atak terrorystyczny trudno nazwać kaprysem.

– Teren czysty – powiedział dowódca. – To pewnie jest twój podejrzany.

– Dziękuję – odpowiedział Luke.

Mężczyzna wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

Ed uklęknął obok ciała i zdjął odciski z trzech palców ofiary.

– Co myślisz, Ed?

Wzruszył ramionami. – Załadowałem tu odciski Kena Bryanta z policyjnej bazy danych. Powinniśmy w ciągu kilku sekund wiedzieć, czy mamy dopasowanie. Tymczasem masz

oczywiste ślady związania i obrzęk. Ciało jest jeszcze ciepłe. Już trochę zeszywniało, ale jeszcze nie całkowicie. Palce sinieją. Powiedziałbym, że tak jak strażnicy w szpitalu zmarł na skutek uduszenia, jakieś osiem do dwunastu godzin temu.

Spojrzał na Luke'a. W jego oczach pojawił się błysk. – Jeśli zdejmiesz mu majtki, będę mógł odczytać temperaturę z odbytu i trochę lepiej oszacować czas.

Luke uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Nie, dzięki. Osiem do dwunastu godzin jest wystarczające. Powiedz mi tylko: czy to on?

Ed spojrzał na skaner. – Bryant? Tak, to on.

Luke wyciągnął telefon i wybrał numer Trudy. Po drugiej stronie linii zadzwonił jej telefon. Raz, dwa, trzy razy. Luke rozejrzał się po posępnym, niegościnnym mieszkaniu. Meble w salonie były stare, sofa miała rozerwaną tapicerkę i z jej oparcia wychodziło wypełnienie. Na podłodze leżał wytarty dywan, a na stole były porzucane puste pudełka po jedzeniu na wynos i plastikowe sztucce. Na oknach były zaciągnięte ciężkie czarne zasłony.

Odezwał się głos Trudy, alarmujący, niemal śpiewny. – Luke – powiedziała – Ile minęło? Pół godziny?

– Chcę porozmawiać z tobą o zaginionym strażniku.

– Ken Bryant – powiedziała.

– Właśnie tak. Już nie jest zaginiony. Newsam i ja jesteśmy w jego mieszkaniu. Zidentyfikowaliśmy go. Zmarł osiem do dwunastu godzin temu. Uduszony tak jak ochroniarze.

– Okej – powiedziała.

– Chcę, żebyś uzyskała dostęp do jego konta bankowego.

Najpewniej otrzymywał bezpośrednie wynagrodzenie za pracę w szpitalu. Zaczynij od tego, a później rób, co do ciebie należy.

– Hm, będzie mi potrzebny nakaz.

Luke przerwał. Rozumiał jej wahanie. Trudy była dobrą funkcjonariuszką. Była też młoda i ambitna. Łamanie prawa zniszczyło wiele dobrze zapowiadających się karier. Jednak nie każdą. Czasem łamanie zasad prowadziło do szybkiego awansu. Wszystko zależało od tego, jakie prawa zostały złamane i do czego to doprowadziło.

– Jest z tobą Swann, prawda? – zapytał.

– Tak.

– Więc nie potrzebujesz nakazu.

Nie odpowiedziała.

– Trudy?

– Jestem.

– Nie możemy czekać na nakaz. Stawką jest ludzkie życie.

– Czy Bryant to podejrzany w tej sprawie?

– Osoba istotna dla śledztwa. Tak czy inaczej, nie żyje. Nie łamiemy za bardzo jego praw.

– Mam rację, że jest to twój rozkaz, Luke?

– To bezpośredni rozkaz – odpowiedział. – Jestem za to odpowiedzialny. Jeśli chcesz posunąć się tak daleko, wiedz, że zależy od tego, czy zachowasz swoje stanowisko. Rób, co mówię albo będę zmuszony wszcząć postępowanie dyscyplinarne.

Zrozumiano?

Jej głos był rozdrażniony, prawie jak u dziecka. – W porządku.

– Dobrze. Kiedy wejdiesz na jego konto, poszukaj wszystkiego, co niecodzienne. Pieniądze, których nie powinno tam być. Duże wpłaty lub wypłaty. Przelewy. Jeśli ma powiązane konta oszczędnościowe lub inwestycyjne, przyjrzyj się im. Mówimy o byłym więźniu, który pracował jako ochroniarz. Nie powinien mieć zbyt dużo pieniędzy. Jeśli ma, chcę wiedzieć, skąd pochodzą.

– Dobrze, Luke.

Zawahał się. – Jak idzie z tablicami rejestracyjnymi?

– Pracujemy tak szybko, jak tylko możemy – odpowiedziała. – Mamy nagrania z nocnych kamer na Piątej Alei i 96 ulicy, a także z Piątej Alei i 94 ulicy oraz kilka innych z sąsiedztwa. Tropimy 198 pojazdów, w tym 46 z wysokim priorytetem. Centrala powinna przysłać mi wstępny raport za jakieś piętnaście minut.

Luke zerknął na zegarek. Mieli coraz mniej czasu. – Świetnie, dobra robota. Będziemy tam najszybciej jak to możliwe.

– Luke?

– Tak?

– Mówią o tym we wszystkich wiadomościach. Mają tutaj trzy przekazy na żywo na wielkich tablicach. To dla nich najważniejszy temat.

Kiwnął głową. – Domyśliłem się.

Mówiła dalej: – Burmistrz ma wygłosić przemówienie o 6 rano. Wygląda na to, że poprosi wszystkich o pozostanie w domach.

– Wszystkich?

– Chce, żeby cały personel, który nie jest niezbędny, trzymał się z dala od Manhattanu. Wszyscy pracownicy biurowi. Ekipy sprzątające i sprzedawcy. Uczniowie i nauczyciele. Zamierza zasugerować, żeby pięć milionów ludzi wzięło dzień wolny.

Luke zakrył usta dłonią. Wziął oddech. – To powinno wpłynąć na morale – powiedział. – Jeśli wszyscy w Nowym Jorku zostaną w domach, terroryści mogą uderzyć po prostu w Filadelfię.

Rozdział 8

5:45 rano

Baltimore, Maryland – południowa część tunelu Fort McHenry

Eldrick stał samotnie, dziesięć jardów od vana. Przed chwilą znów zwymiotował. Teraz w większości były to tylko mimowolne mdłości bez wymiotów i krew. Krew go martwiła. Nadal majaczył, miał gorączkę i był czerwony na twarzy, ale w jego żołądku już prawie nic nie zostało, więc nudności prawie zupełnie zniknęły. Najlepsze było to, że wreszcie wy dostał się z vana.

Gdzieś na brudnym horyzoncie niebo zaczęło się rozjaśniać i przybrało chorobliwie żółty kolor. Tu na dole, na ziemi, nadal było ciemno. Zaparkowali na opuszczonym parkingu obok ponurego waterfrontu. Nad ich głowami na wysokości dwudziestu pięter przebiegała autostrada. Nieopodal stał porzucony murowany budynek przemysłowy z dwoma kominami. Czarne otwory w miejscu wybitych okien wyglądały jak martwe oczy. Budynek otaczał drut kolczasty, na którym co trzydzieści stóp wisały znaki WSTĘP WZBRONIONY. W ogrodzeniu była widoczna dziura. Teren wokół budynku był zarośnięty krzakami i wysoką trawą.

Patrzył na Ezatullaha i Momo. Ezatullah zerwał jedną z dużych naklejek magnetycznych z napisem Dun-Rite Laundry

Services, przyniósł ją nad wodę i rzucił na drugi brzeg. Wrócił i zerwał drugą, przyklejoną z drugiej strony. Eldrickowi nigdy nie przyszło na myśl, że znaki można zdjąć. W międzyczasie Momo klęcząc ze śrubokrętem przed furgonem, zdemontował tablicę rejestracyjną i zakładał nową. Chwilę później przeszedł na tył samochodu i zrobił to samo z tylną tablicą.

Ezatullah wykonał gest w kierunku pojazdu. – Voilà! – powiedział. – Zupełnie inny samochód. Złap mnie, Wujku Samie.

Twarz Ezatullaha była jasnoczerwona i spocona. Jego oddech zdawał się świszczec, a oczy nabiegły krwią.

Eldrick rozejrzał się po okolicy. Stan fizyczny Ezatullaha nasunął mu pewną myśl, która zaświeciła w jego umyśle niczym błyskawica, po czym natychmiast zniknęła. To był najbezpieczniejszy sposób myślenia. Ludzie potrafią odczytać myśli, patrząc w oczy.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Baltimore – odpowiedział Ezatullah. – Kolejne z twoich wspaniałych amerykańskich miast. I miłe miejsce do życia, jak mniemam. Niski poziom przestępczości, piękno przyrody, a mieszkańcy są zdrowi i bogaci. Każdy by tak chciał.

W nocy Eldrick majaczył. Kilka razy stracił przytomność. Stracił też poczucie czasu i nie wiedział, gdzie są. Nie miał też pojęcia, dlaczego przyjechali tak daleko.

– Baltimore? Dlaczego tu jesteśmy?

Ezatullah wzruszył ramionami. – Jesteśmy w drodze do

naszego nowego celu.

– Cel jest tutaj?

Teraz Ezatullah się uśmiechnął. Uśmiech zdawał się nie pasować do jego przeżartej promieniowaniem twarzy. Wyglądał jak uosobienie śmierci. Wyciągnął drżącą rękę i przyjaźnie poklepał Eldricka po ramieniu.

– Przepraszam, byłem na ciebie zły, bracie. Dobrze się spisałeś. Dostarczyłeś wszystko zgodnie z obietnicą. Jeśli Allah pozwoli, życzę ci, żebyś tego dnia znalazł się w Raju. Jednak nie z mojej ręki.

Eldrick gapił się na niego.

Ezatullah potrząsnął głową. – Nie. Nie Baltimore. Podróżujemy na południe, aby zadać cios, który uszczęśliwi ludzkość cierpiącą na całym świecie. Wejdziemy do legowiska samego diabła i utniemy bestii łeb własnymi rękoma. – Jego ramiona pokryły się gęsią skórą. Zauważył, że jego własny podkoszulek był wilgotny od potu. Nie podobało mu się to, co usłyszał. Jeśli kierowali się na południe i byli w Baltimore, następnym miastem był...

– Waszyngton – powiedział.

– Tak.

Ezatullah znów się uśmiechnął. Tym razem uśmiech był pełen chwały, zupełnie jak u świętego stojącego u bram Nieba, gotowego, aby przez nie przejść.

– Zabij głowę, a ciało umrze.

Eldrick widział to w oczach Ezatullaha. Mężczyzna stracił

rozum. Być może była to choroba, a może coś innego, ale bez wątplenia nie myślał trzeźwo. Od początku planowali ukraść materiały i porzucić furgon w South Bronx. To była niebezpieczna robota, bardzo trudna wykonania, ale oni to zrobili. Ktokolwiek był odpowiedzialny za resztę, zmienił plany, albo od samego początku kłamał. Teraz jechali do Waszyngtonu radioaktywnym vanem.

Po co?

Ezatullah był doświadczonym dżihadystą. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że jego cel był nieosiągalny. Wyobraził sobie furgon cały usiany dziurami po kulach, stojący trzy jardy od Białego Domu, Pentagonu czy ogrodzenia Kapitolu.

To nie była misja samobójcza. To w ogóle nie była misja. To było oświadczenie polityczne.

– Nie martw się – powiedział Ezatullah. – Bądź szczęśliwy. Zostałeś wybrany, aby dostąpić największego zaszczytu. Zrobimy to, nawet jeśli teraz nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Zrozumiesz w odpowiednim czasie. – Odwrócił się i przesunął boczne drzwi furgonu.

Eldrick zerknął na Momo. Kończył z tylną tablicą rejestracyjną. Momo przez chwilę nic nie mówił. Pewnie nie czuł się najlepiej.

Eldrick zrobił krok w tył. A później jeszcze jeden. Ezatullah był zajęty czymś w vanie, odwrócony plecami. Najśmieszniejsze w tej sytuacji było to, że drugi taki moment może już nigdy nie nadejść. Eldrick stał na środku rozległego otwartego parkingu i

nikt na niego nie patrzył.

W liceum Eldricka była bieżnia. Wtedy nieźle biegał. Pamiętał tłumy w 168th Street Armory na Manhattanie, wyniki na wielkiej tablicy, rozbrzmiewający gwizdek. Pamiętał zdenerwowanie tuż przed wyścigiem, zawrotną szybkość na nowej bieżni, walczące o pozycję czarne smukłe buty Gazelle, odpychanie się, łokcie uniesione wysoko, poruszanie się tak szybko, jakby to był sen.

Przez te wszystkie lata Eldrick nigdy nie biegł tak szybko, jak tamtego dnia. Może, skupiając całą energię i stawiając wszystko na jedną kartę, mógłby teraz osiągnąć tę prędkość. Nie ma sensu się wahać, a nawet zastanawiać się zbyt długo.

Odwrócił się i wystartował.

Chwilę później usłyszał za sobą głos Momo.

– EZA!

A później coś po persku.

Opuszczony budynek stał naprzeciwko. Choroba przybrała na sile. Zwymiotował, krew pochłapała jego koszulkę, ale nie przestawał biec. Brakowało mu tchu.

Usłyszał kliknięcie podobne do odgłosu wydawanego przez zszywacz. Dźwięk odbił się słabo od ścian. Ezatullah strzelał, a jakżeby inaczej. Jego broń miała tłumik.

Ostre ukłucie przeszło szyję Eldricka. Upadając na chodnik, zdarł sobie skórę na ramionach. Ułamek sekundy później rozległ się następny strzał. Eldrick podniósł się i biegł dalej. Ogrodzenie było zaraz obok. Skręcił w stronę dziury.

Jego ciało przeszło kolejne ukłucie. Upadł i doczołgał się do ogrodzenia. Wszystkie siły zdawały się odpływać z jego nóg. Wisiał tam, mocno zaciskając dłonie na ogniwach łańcucha.

– Ruchy – wychrypiał. – Ruchy.

Padł na kolana, na siłę odsunął rozszarpane ogrodzenie i przeczołgał się przez otwór. Znalazł się w głębokiej trawie. Wstał, potknął się o coś, czego nie widział i stoczył się z nasypu. Nie próbował przestać się toczyć. Dał się ponieść impetowi na sam dół.

Zatrzymał się, z trudem łapiąc oddech. Ból w plecach był nieprawdopodobny. Twarz miał całą ubłoconą. Było mokro i błotniście. Znalazł się nad brzegiem rzeki. Mógł sturlać się do wody, gdyby tylko chciał. Zamiast tego wczołgał się głębiej w zarośla. Słońce jeszcze nie weszło. Jeśli tu zostanie, bez ruchu, bezszelestnie, jest niewielka szansa...

Dotknął dłonią klatki piersiowej. Jego palce pokryły się krwią.

*

Ezatullah stał przy dziurze w ogrodzeniu. Świat wirował wokół niego. Kręciło mu się w głowie na samą myśl o pogoni za Eldrickiem.

Trzymał za łańcuch ogrodzenia, opierając na nim ciężar swojego ciała. Zbierało mu się na wymioty. W krzakach było tak ciemno, że spędziłby pewnie godzinę, szukając go tam. Jeśli

dostał się do dużego opuszczonego budynku, mogą go nigdy nie znaleźć.

Moahmmar stał obok. Zgięty w pół, opierał ręce o kolana i oddychał ciężko. – Powinniśmy tam wejść? – zapytał.

Ezatullah potrząsnął głową. – Nie mamy czasu. Postrzeliłem go dwa razy. Jeśli choroba go nie wykończy, zrobią to kule. Niech umrze tam sam. Być może Allah zaopiekuje się tym tchórzem. Mam taką nadzieję. Tak czy inaczej, musimy kontynuować bez niego.

Odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku furgonu. Zdawało się, że stoi zaparkowany w oddali. Był zmęczony, był chory, ale stawiał stopę przed stopą. Każdy krok przybliżał go do bram Raju.

Rozdział 9

6:05 rano

Połączone Centrum ds. Zwalczania Terroryzmu –
Midtown Manhattan

– Luke, najlepsze, co możesz zrobić w tej sytuacji, to zebrać swoich ludzi i wrócić do Waszyngtonu – powiedział mężczyzna w garniturze.

Luke stał w środku wirującego chaosu w głównej sali centrum dowodzenia. Nastął już dzień i słabe światło przedostawało się przez okna na wysokości drugiego piętra. Czas mijał zbyt szybko, a centrum dowodzenia było potrzebne jak dziura w moście.

Przestrzeń zajmowało dwustu ludzi. Było co najmniej czterdzieści stacji roboczych, przy niektórych z nich przed pięcioma ekranami komputerów siedziały po dwie lub trzy osoby. Ekran-y wyświetlały cyfrowe mapy Manhattanu, Bronxu, Brooklynu, przekazywane na żywo wideo z widokiem na wjazd do tuneli Holland i Lincoln, a także zdjęcia policyjne arabskich terrorystów przebywających w kraju.

W tej chwili trzy ekrany pokazywały burmistrza DeAngelo – przy jego sześciu stopach i trzech calach wzrostu asystenci zdawali się niżsi niż w rzeczywistości – który stał przy mikrofonie i przemawiał do odważnych nowojorczyków, zachęcając ich, aby zostali w domach i przytulili swoje dzieci. Czytał przygotowane wcześniej przemówienie.

Jego głos płynął z umieszczonych w pokoju głośników.

– W najgorszym razie – mówił burmistrz – początkowy wybuch zabije wielu ludzi i wywoła panikę na najbliższym obszarze. Narażenie na promieniowanie zrodzi terror rozciągający się na cały region, a prawdopodobnie także na resztę kraju. Wiele osób wystawionych na pierwszy atak może zachorować, a niektóre z nich umrą. Koszty oczyszczania będą olbrzymie, a dodatkowo ciężyć będzie psychiczna i ekonomiczna cena. Atak z wykorzystaniem brudnej bomby na główną stację metra w Nowym Jorku sparaliżuje komunikację na kilka najbliższych dni.

– Ładnie – odezwał się Luke. – Ciekawe, kto mu to napisał.

Rozejrzał się po pokoju. Wszyscy w nim obecni walczyli o pozycję. Roilo się tam od liter alfabetu. NYPD, FBI, NSA, ATF, DEP, nawet CIA. Do licha ciężkiego, nawet DEA tu było. Luke nie był pewien, co może łączyć kradzież radioaktywnych odpadów z przestępstwem narkotykowym.

Ed Newsam poszedł szukać w tłumie personelu SRT.

– Luke, czy mnie słyszysz?

Luke przestał krążyć myślami i wrócił do omawianej sprawy.

Stał z Ronem Begleyem z Departamentu Bezpieczeństwa. Ron był łysiejącym mężczyzną, bliskim sześćdziesiątki. Miał duży okrągły brzuch i małe pulchne paluszki. Luke znał jego historię. Był urzędasem, człowiekiem należącym do świata rządowej biurokracji. 11 września prowadził w Departamencie Skarbu zespół analizujący uchylanie się od płacenia podatków i schemat

Ponziego. Kiedy utworzono Departament Bezpieczeństwa, prześlizgnął się do wydziału walki z terroryzmem. Nigdy w swoim życiu nikogo nie zaaresztował ani nie strzelał rozzłoszczony z broni.

– Powiedziałaś, że mam iść do domu.

– Tutaj wchodzisz nam pod nogi, Luke. Kurt Myerson zadzwonił do swojego szefa z NYPD i powiedział mu, że jesteś w szpitalu i traktujesz ludzi jak swoich osobistych służących. I że dowodziłeś oddziałem SWAT. Naprawdę? Oddział SWAT? Słuchaj, to ich boisko. To ty powinieneś słuchać ich rozkazów. Takie są zasady.

– Ron, NYPD nas wezwało. Myślałem, że to dlatego, że nas potrzebowali. Ludzie wiedzą, jak pracujemy.

– Kowboje – powiedział Begley. – Pracujecie jak kowboje na rodeo.

– Don Morris wyciągnął mnie z łóżka, żebym tu przyjechał. Możesz z nim porozmawiać...

Begley wzruszył ramionami. Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. – Don został odesłany. Złapał śmigłowiec dwadzieścia minut temu. Proponuję ci zrobić to samo.

– Co?

– To prawda. Przydzielono mu inne zadanie. Wezwali go, żeby zbadał sytuację w Pentagonie. To sprawa najwyższej wagi. Zakładam, że nie mogli znaleźć stażystów, którzy by to zrobili, więc ściągnęli Dona.

Begley zniżył głos, ale Luke nadal słyszał go bez problemu.

– Mała rada. Co zostało Donowi trzy lata przed emeryturą? Don to przedstawiciel ginącego gatunku. Jest dinozaurem tak jak SRT. Obaj o tym wiemy. Wszystkie te małe tajne agencje wewnątrz agencji odchodzą w zapomnienie. Konsolidujemy i centralizujemy, Luke. To, czego teraz potrzebujemy, to analiza opierająca się na danych. Właśnie w ten sposób będziemy rozwiązywać sprawy w przyszłości. W taki sposób złapiemy dziś tych terrorystów. Nie potrzebujemy już macho-superszpiegów i starzejących się komandosów zjeżdżających po ścianach budynków. Po prostu nie. To koniec rozgrywek bohaterów. Właściwie jest to trochę niedorzeczne, jakby się nad tym zastanowić.

– Świetnie – powiedział Luke. – Wezmę tę radę do serca.

– Myślałem, że uczysz w college'u – powiedział Begley. – Historia, nauki polityczne, tego typu rzeczy.

Luke skinął głową. – To prawda.

Begley położył mięsistą dłoń na ramieniu Luke'a. – Powinieneś przy tym zostać.

Luke strząsnął dłoń i zniknął w tłumie, szukając swoich ludzi.

*

– Co mamy? – zapytał Luke.

Jego zespół zainstalował się w odosobnionym biurze. Przynieśli kilka wolnych biurek i zbudowali własną stację dowodzenia z laptopami i nawigacją satelitarną. Byli tam Trudy,

Ed Newsam i kilka innych osób. Swann zaszył się w kącie ze swoimi trzema laptopami.

– Odesłali Dona – powiedziała Trudy.

– Wiem. Rozmawiałś z nim?

Kiwnęła głową. – Dwadzieścia minut temu. Za chwilę miał wylądować. Powiedział, żebyśmy pracowali nad sprawą, dopóki osobiście nas nie odwoła. Mamy uprzejmie ignorować wszystkich pozostałych.

– Brzmi dobrze. Więc, na czym stoimy?

Miała poważny wyraz twarzy. – Idziemy szybko do przodu. Zawężiliśmy to do sześciu pojazdów najwyższego priorytetu. Wszystkie przejeżdżały zeszłej nocy obok szpitala i wiąże się z nimi kilka faktów, które są dziwne albo się nie zgadzają.

– Podaj mi przykład.

– Dobrze. Jeden z nich to furgon do sprzedaży jedzenia zarejestrowany na byłego rosyjskiego spadochroniarza. Prześledziliśmy jego trasę na nagraniach z monitoringu i można śmiało powiedzieć, że przez całą noc krążył po ulicach Manhattanu, sprzedając hot-dogi i Pepsi prostytutkom, alfonsom i klientów burdeli.

– Gdzie jest teraz?

– Zaparkował przy 11. Ave, na południe od Jacob Javits Convention Center. Od jakiegoś czasu się stamtąd nie ruszył. Domyślamy się, że śpi.

– Dobrze, wygląda na to, że stał się celem niższego rzędu. Przekaż jego dane do NYPD, tak na wszelki wypadek. Mogą

go wykurzyć i przetrząsnąć jego furgonetkę, a tym samym dowiedzieć się, co jeszcze sprzedaje. Następny.

Trudy przejrzała swoją listę. Minivan robiący za pojazd Uber, prowadzony przez byłego zniesławionego fizyka nuklearnego. 40-tonowa przyczepa rolnicza z roszczeniami ubezpieczeniowymi dotyczącymi zdemolowania w wypadku i przeznaczona do rozbiórki. Furgon dostawczy komercyjnej pralni, jeżdżący na tablicach rejestracyjnych niezwiązanej firmy układającej podłogi na Long Island. Ambulans, którego kradzież zgłoszono trzy lata temu.

– Kradziony ambulans? – zareagował Luke. – To brzmi jak trop.

Trudy wzruszyła ramionami. – Zazwyczaj wiąże się to z nielegalnym handlem organami. Zbierają żniwo od ledwie co zmarłych pacjentów. Muszą szybko pobrać organy, spakować je i wynieść ze szpitala. Na ogół nikt nie przygląda się zbyt długo ambulansowi stojącemu na szpitalnym parkingu.

– Być może tej nocy nie czekali na organy. Wiemy, gdzie są? Potrzęsnęła głową. – Nie. Jedyne współrzędne, jakie mamy, są rosyjskie. To nadal bardziej jest sztuka niż nauka. Kamery monitorujące nie są zamontowane wszędzie, a brakuje ich zwłaszcza poza granicami Manhattanu. Widzisz ciężarówkę mijającą kamerę, ale możesz już nigdy więcej jej nie zobaczyć. Możesz też znaleźć ją na nagraniu z innej kamery oddalonej o dziesięć bloków czy pięć mil. Przyczepa rolnicza kierowała się do Nowego Jorku mostem George'a Washingtona, ale ją

zgubiliśmy. Furgonetka z pralni jechała mostem 13th Street Bridge do południowego Bronxu, po czym zniknęła. Teraz śledzimy je innymi sposobami. Skontaktowaliśmy się z firmą przewozową, Uber, firmą kładącą posadzki oraz z pralnią. Niedługo powinniśmy się czegoś o nich dowiedzieć. Do tego w siedzibie jest ośmiu moich ludzi, którzy przedzierają się przez godziny materiału wideo w poszukiwaniu ambulansu.

– Dobrze. Informuj mnie. Co z kontem bankowym?

Twarz Trudy była niczym kamień. – Zapytaj o to Swanna.

– Jasne.

Ruszył w kierunku małego bunkru Swanna w kącie.

– Luke?

Zatrzymał się. – Tak?

Jej wzrok biegał po pokoju. – Możemy porozmawiać? Na osobności?

*

– Zwolnisz mnie, bo nie złamałam dla Ciebie prawa?

– Trudy, nie zwolnię cię. Jak mogłaś tak pomyśleć?

– Tak powiedziałeś, Luke.

Stali w małym pomieszczeniu gospodarczym. Były tam dwa puste biurka i jedno małe okienko. Dywan był nowy, a ściany zupełnie białe. W rogu pod sufitem zamontowana była mała kamera.

Wyglądało na to, że z pokoju nikt nigdy nie korzystał.

Centrum dowodzenia otwarcie niespełna rok temu.

Duże oczy Trudy patrzyły na niego uważnie.

Luke westchnął. – Dawałem ci wymówkę. Myślałem, że to zrozumiesz. Jeśli wpadłabyś w kłopoty, mogłabyś rzucić winę na mnie. Robiłaś tylko to, co ci kazałem. Bałaś się, że stracisz pracę, jeśli nie wykonasz moich rozkazów.

Zrobiła krok w jego stronę. Ograniczona przestrzeń w pokoju sprawiła, że poczuł zapach jej szamponu i wody kolońskiej, której często używała. Kombinacja zapachów w jakiś sposób podziałała na jego kolana. Poczuł lekko wyczuwalne drżenie.

– Nie możesz nawet dać mi bezpośredniego rozkazu. Już nie pracujesz w SRT.

– Jestem na urlopie.

Zrobiła następny mały krok w jego stronę. Jej oczy skupiły się na nim jak dwa lasery. Była w tych oczach inteligencja. I ciepło.

– Dlaczego? Przeze mnie?

Potrząsnął głową. – Nie. Miałem moje powody. Nie byłaś jednym z nich.

– Bracia Marshall?

Wzruszył ramionami. – Po zabiciu dwóch ludzi jednej nocy pojawia się dobry moment na zrobienie sobie przerwy. Kto wie, może nawet przemyślisz swoje postępowanie.

– Próbujesz powiedzieć, że nigdy nic do mnie nie czułeś? – zapytała.

Spojrzał na nią, zaskoczony pytaniem. Zawsze odczuwał, że Trudy z nim flirtuje, ale nigdy nie połknął przynęty. Kilka razy,

kiedy upił się na przyjęciu albo pokłócił z żoną, zdarzyło mu się podejść bliżej. Jednak myśl o jego żonie i synu zawsze zawracała go znad skraju zrobienia czegoś głupiego.

– Trudy, pracujemy razem – powiedział stanowczo – i jestem żonaty.

Podeszła jeszcze bliżej.

– Nie szukam małżeństwa, Luke – powiedziała łagodnie, nachylając się na odległość kilku centymetrów.

Przylgnęła do niego. Nie oderwał ramion od swojego tułowia. Poczuł od niej ciepło i to stare niekontrolowane pragnienie, które pojawiało się, kiedy była blisko, podekscytowanie, energię... pożądanie. Sięgnęła, aby położyć dłonie na jego klatce piersiowej i kiedy tylko dotknęła jego koszuli, wiedział, że musi działać teraz albo kompletnie się jej poddać.

Ostatnim aktem najwyższej samodyscypliny, Luke odsunął się i delikatnie odepchnął jej ręce.

– Przepraszam, Trudy – powiedział ochryłym głosem. – Zależy mi na tobie. Naprawdę. To jednak nie jest dobry pomysł.

Uniosła brwi, ale zanim zdążyła coś odpowiedzieć, czyjaś pięść mocno uderzyła w drewniane drzwi.

– Luke? Jesteś tam? – Był to głos Newsama. – Powinieneś wyjść i na to spojrzeć. Swann coś znalazł.

Spojrzeli na siebie. Na myśl o swojej żonie Luke czuł nieopisane poczucie winy, mimo że nic nie zrobił. Odsunął się, zanim zdążyło wydarzyć się coś więcej i nie mógł przestać myśleć o tym, jak mogłoby to wpłynąć na ich relacje w pracy.

A co najgorsze, musiał przyznać sam przed sobą, że gdzieś tam w głębi wcale nie chciał opuszczać pokoju.

*

Swann siedział przed trzema monitorami ustawionymi na długim stole. Ze swoimi okularami i przerzedzającymi się włosami przypominał Luke'owi fizyka z centrum kontroli lotów NASA. Luke stał za nim z Newsamem i Trudy. We troje zawisnęli nad wąskimi barkami Swanna.

– To jest rachunek oszczędnościowy Kena Bryanta – powiedział Swann, przesuwając kursor po środkowym monitorze. Luke chłonał wszystkie szczegóły: wpłaty, wypłaty, saldo, zakres dat od 28 kwietnia do 27 maja.

– Jak bezpieczne jest to połączenie? – zapytał Luke. Rozejrzał się po pokoju i wyjrzał przez drzwi. Główny pokój centrum dowodzenia był zaraz na drugim końcu korytarza.

– To? – zapytał Swann i wzruszył ramionami. – Jest niezależne od centrum dowodzenia. Podłączyłem się do naszej własnej wieży i satelitów. Jest zaszyfrowane przez naszych ludzi. Zakładam, że CIA lub NSA może mieć kogoś próbującego to złamać, ale po co? Jesteśmy w tym samym zespole, prawda? Nie martwiłbym się o to. Zamiast tego, skupiłbym się na koncie bankowym. Widzicie coś zabawnego?”

– Ma na koncie ponad 24 000 dolarów – powiedział Luke.

– Właśnie – powiedział Swann. – Strażnik uzbierał całkiem

niezła sumkę. Ciekawe. A teraz cofnijmy się o miesiąc. 28 maja do 27 kwietnia. Saldo wzrasta aż do 37 000 dolarów, a on zaczyna wydawać pieniądze. Są tu przelewy z anonimowego konta. 5 000 dolarów, później 4 000 dolarów, później, cóż, zapomnijmy o całym problemie z raportowaniem do IRS... Najbardziej podoba mi się 20 000 dolarów.

– Okej – powiedział Luke.

– Wróćmy się o kolejny miesiąc. Koniec lutego do końca marca. Jego początkowe saldo to 1 129 dolarów. Na koniec miesiąca wynosi ponad 9 000 dolarów. Wracamy o jeszcze jeden miesiąc, koniec stycznia do końca lutego, ale jego saldo nie sięga 2 000 dolarów. Jeśli cofnąć się od tego momentu o trzy lata, widać, że jego saldo rzadko kiedy przekraczało 1 500 dolarów. Był facetem żyjącym z miesiąca na miesiąc, który nagle w marcu zaczął otrzymywać duże przelewy.

– Kto je przysyłał?

Swann uśmiechnął się i uniośł palec. – Teraz najlepsza część. Przelewy pochodzą z małego zagranicznego banku specjalizującego się w obsłudze anonimowych kont. Nazywają się Royal Heritage Bank i mają siedzibę w Wielkim Kanionie.

– Możesz się włamać? – zapytał Luke. Kątem oka zauważył pełen dezaprobaty wzrok Trudy.

– Nie muszę – powiedział Swann. – Royal Heritage należy do cennego nabytku CIA nazwiskiem Grigor Svetlana. Jest Ukraincem i służył kiedyś w Armii Czerwonej. Wdał się w problemy z Rosjanami dwadzieścia lat temu, kiedy

trochę starej sowieckiej broni zniknęło i pojawiło się na czarnym rynku w Afryce Zachodniej. Nie mówię o pistoletach. Mówię o pociskach przeciwlotniczych, przeciwpancernych i o kilku raketach samosterujących latających na niskim pułapie. Rosjanie byli gotowi go za to powiesić. Nie miał się gdzie podziąć, więc zwrócił się do nas. Mam znajomego w Langley, od którego wiem, że konta w Royal Heritage Bank są dalekie od bycia anonimowymi i tak naprawdę są łatwo dostępne dla amerykańskiego wywiadu. Oczywiście większość klientów Royal Heritage nie jest tego świadoma.

– Więc wiesz, do kogo należy konto, z którego przelewano pieniądze.

– Wiem.

– Dobrze, Swann – powiedział Luke. – Wiem, że jesteś bardzo sprytny. Teraz przejdź do sedna.

Swann wskazał na monitory. – Bryant był właścicielem konta, z którego robiono przelewy. To jest konto widoczne na ekranie po lewej. Jak widzicie, w tej chwili jest na nim 209 000 dolarów. Wysyłał po trochu stąd czy stamtąd z kilku kont na swój lokalny rachunek oszczędnościowy, pewnie na swój własny użytek. Cofając się o kilka miesięcy, zauważamy, że zagraniczne konto Bryanta zostało utworzone 3 marca i zasilone kwotą 250 000 dolarów przelanych z innego konta w Royal Heritage, które jest wyświetlone tutaj, na prawym monitorze.

Luke spojrział na konto po prawej. Jego saldo wynosiło ponad czterdzieści cztery miliony dolarów.

- Ktoś ubił dobry interes, zatrudniając Bryanta – powiedział.
- Otóż to! – odpowiedział Swann.
- Kto to jest?
- To ten człowiek.

Na ekranie wyświetlił się dowód tożsamości ze zdjęciem. Przedstawiało mężczyznę w średnim wieku z częściowo posiwiałymi ciemnymi włosami. – To jest Ali Nassar. 57 lat, Irańczyk. Urodził się w Teheranie we wpływowej i zamożnej rodzinie. Studiował w London School of Economics, a później na wydziale prawniczym na Harvardzie. Wrócił do domu i zdobył następny stopień prawniczy, tym razem na Uniwersytecie Teherańskim. W rezultacie miał praktykę w dziedzinie prawa zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Iranie. Przez większość swojej kariery uczestniczył w międzynarodowych negocjacjach handlowych. Mieszka tu, w Nowym Jorku i obecnie jest irańskim dyplomatą w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ma pełny immunitet dyplomatyczny.

Luke pogładził podbródek. Wyczuł kilkudniowy zarost. Zaczynało ogarniać go zmęczenie. – Mówiąc wprost, Nassar zapłacił Kenowi Bryantowi, prawdopodobnie za dostęp do szpitala, a także za informacje o zabezpieczeniach i sposobie ich obejścia.

– Przypuszczalnie, tak.

– Więc prowadzi organizację terrorystyczną w Nowym Jorku, jest współwinny kradzieży niebezpiecznych substancji i co najmniej czterech zabójstw, a przy tym nie może być oskarżony

na mocy amerykańskiego prawa?

– Właśnie tak to wygląda.

– Dobrze. Masz otwarte to konto, prawda? Sprawdźmy, dokąd jeszcze wysyłał pieniądze.

– To mi zajmie chwilę.

– Nie ma problemu. Mam coś do załatwienia w międzyczasie.

Luke zerknął na Eda Newsama. Miał surowy wyraz twarzy, a jego wzrok był płaski i pusty.

– To co, Ed? Masz ochotę na przejażdżkę ze mną? Może powinniśmy złożyć wizytę panu Alemu Nassarowi.

Newsam się uśmiechnął, ale wyglądał, jakby jeszcze bardziej spochmurniał.

– Brzmi nieźle.

Rozdział 10

6:20 rano

Congressional Wellness Center – Waszyngton, DC

Znalezienie tego nie było łatwe.

Jeremy Spencer stał przed zamkniętymi szarymi stalowymi drzwiami w piwnicach biurowca Rayburn House. Drzwi były schowane w rogu podziemnego parkingu. Tylko nieliczni wiedzieli, że to miejsce istnieje. Jeszcze mniej osób wiedziało, gdzie się znajduje. Czuł się głupio, ale mimo to zapukał do drzwi.

Ktoś otworzył mu drzwi domofonem. Pociągnął za klamkę i poczuł w żołądku dobrze znane uczucie niepewności. Wiedział, że kongresowa siłownia była niedostępna dla każdego z wyjątkiem członków Kongresu Stanów Zjednoczonych. A jednak, mimo że naruszało to wieloletnie procedury, zaproszono go do środka.

To był najważniejszy dzień w jego młodym życiu. Przed trzema laty przyjechał do Waszyngtonu i piął się coraz wyżej.

Siedem lat temu był wieśniakiem parkującym przyczepy w północnej części Nowego Jorku. Następnie otrzymał pełne stypendium na Uniwersytecie Stanowym w Nowym Jorku w Binghamton. Zamiast wyluzować i korzystać z darmowej podwózki, został przewodniczącym kampusu Republikanie i komentatorem w gazecie szkolnej. Niedługo potem pisał dla Breitbart i Drudge. Teraz, co później mogło wyglądać na

głęboki oddech, był reporterem Newsmax, specjalizującym się w dostarczaniu informacji na temat Kapitolu.

Siłownia była mało oryginalna. Jej wyposażenie ograniczało się do kilku urządzeń do treningu cardio, luster i paru wolnych ciężarów na stelażu. Na bieżni ćwiczył starszy mężczyzna ze słuchawkami w uszach, ubrany w spodnie od dresu i podkoszulek. Jeremy wszedł do cichej szatni. Skręcił za rogiem i stanął naprzeciwko człowieka, z którym miał się spotkać.

Mężczyzna był wysoki, siwy i po pięćdziesiątce. Stał przed otwartą szafką, więc Jeremy widział go z profilu. Jego plecy były proste, szczeka wystająca. Miał na sobie mokry od potu T-shirt i spodenki. Barki, ramiona, klatka piersiowa, nogi, całe jego ciało było muskularne i wyrzeźbione. Wyglądał jak przywódca ludzi.

Nazywał się William Ryan i od dziewięciu kadencji był reprezentantem z Karoliny Północnej oraz spikerem Izby Reprezentantów. Jeremy wiedział o nim wszystko. Jego rodzina była bogata od pokoleń i posiadała plantacje tytoniu jeszcze sprzed czasów Rewolucji. Jego prapradziadek był Senatorem Stanów Zjednoczonych podczas Rekonstrukcji USA. Pierwszy w swojej klasie został absolwentem uczelni Citadel. Był czarujący, łaskawy, a jego sposób sprawowania władzy budził zaufanie i wrażenie tak pełnych uprawnień, że mało kto w partii ośmielał mu się sprzeciwić.

– Czy pan spiker?

Ryan odwrócił się, zobaczył Jeremy'ego i błysnął jasnym uśmiechem. Na jego ciemnoniebieskim T-shircie widniały

białe i czerwone litery układające się w napis DUMNY AMERYKANIN. Wyciągnął rękę na powitanie. – Przepraszam – powiedział – jeszcze jestem spocony.

– Żaden problem, proszę pana.

– Dobrze – powiedział Ryan – dajmy spokój z tym „panem”. Prywatnie mów mi Bill. Jeśli to dla ciebie niekomfortowe, zwracaj się do mnie, używając mojego tytułu. Chcę, żebyś coś wiedział. Poprosiłem o ciebie i daję ci wyłączność. Możliwe, że dziś wieczorem będę musiał wziąć udział w konferencji ze wszystkimi mediami. Jeszcze nie wiem. Jednak do tego czasu, przez cały dzień, moje przemyślenia dotyczące tego kryzysu będą podpisane twoim nazwiskiem. Jak ci się podoba?

– Bardzo – powiedział Jeremy. – To zaszczyt. Tylko dlaczego ja?

Ryan zniżył głos. – Dobry z ciebie dzieciak. Od dawna obserwuję twoje postępy. Chciałbym dać ci radę. Całkowicie nieoficjalnie. Po dzisiejszym dniu przestaniesz być psem bojowym. Jesteś doświadczonym dziennikarzem. Chcę, żebyś opublikował słowo w słowo wszystko, co powiem, ale dopiero jutro, chcę, żeby twój materiał stał się trochę bardziej... dopracowany, że tak powiem. Newsmax'owi niczego nie brakuje, ale za rok widzę cię w „Washington Post”. To tam cię potrzebujemy i tak się stanie. Przedtem jednak ludzie muszą uwierzyć, jak dojrzały jesteś i że dorosteś do roli tak zwanego uczciwego i zrównoważonego mainstreamowego reportera. Nie jest istotne, czy rzeczywiście tak jest, czy nie. Ważne jest, jak

cię postrzegają. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Myślę, że tak – powiedział Jeremy. Krew pulsowała mu w uszach. Słowa były podniecające i przerażające jednocześnie.

– Wszyscy potrzebujemy przyjaciół na wysokich stanowiskach – powiedział spiker. – Ja też. A teraz odpalaj.

Jeremy wyjął telefon. – Nagrywanie włączone od... teraz. Proszę pana, czy jest pan świadom masowej kradzieży radioaktywnego materiału, która miała miejsce w Nowy Jorku tej nocy?

– Jestem więcej niż świadom – odrzekł Ryan. – Tak jak wszyscy Amerykanie jestem tym głęboko zaniepokojony. Moi asystenci obudzili mnie o 4 rano i przekazali mi tę wiadomość. Wszyscy jesteśmy w dobrym kontakcie z wywiadem i dokładnie przyglądamy się całej sytuacji. Jak dobrze wiesz, pracowałem nad deklaracją kongresową dotyczącą wypowiedzenia wojny Iranowi, którą za każdym razem odrzucał prezydent i jego partia. Jesteśmy w sytuacji, w której Iran okupuje naszych sojuszników, suwerenny naród irański, a nasz własny personel musi przechodzić przez irańskie punkty kontrolne, aby dostać się do ambasady lub ją opuścić. Nie wierzę, że nastąpiła seria tak poniżających zdarzeń od czasów kryzysu z zakładnikami w Iranie w 1979 roku.

– Czy wierzy pan, że za tą kradzieżą stoi Iran?

– Przede wszystkim nazwijmy to po imieniu. Bez względu na to, czy bomba wybuchnie, czy nie, jest to atak terrorystyczny na amerykańskiej ziemi. Co najmniej dwóch ochroniarzy zostało

zamordowanych, a wielkie miasto Nowy Jork żyje w strachu. Po drugie, nie mamy jeszcze wystarczających informacji, aby wskazać, kim są terroryści. Wiemy jednak, że słaba pozycja na światowej scenie zachęca do tego typu ataków. Musimy pokazać naszą prawdziwą siłę i musimy kroczyć razem, jako państwo, z prawej i z lewej, aby się obronić. Zapraszam prezydenta, aby do nas dołączył.

– Co według pana powinien zrobić prezydent?

– Musi przynajmniej ogłosić ogólnokrajowy stan zagrożenia. Powinien przydzielić tymczasowe szczególne uprawnienia do egzekwowania prawa, dopóki nie wytropimy tych ludzi.

Te uprawnienia powinny zawierać nadzór bez nakazu, jak również losowe przeszukania i zatrzymania na wszystkich stacjach kolejowych, przystankach autobusowych, lotniskach, w szkołach, na placach publicznych, w centrach handlowych i innych miejscach użytku publicznego. Musi także działać szybko, aby zabezpieczyć całą resztę radioaktywnych substancji na terenie całych Stanów Zjednoczonych.

Jeremy wpatrywał się w dzikie oczy Ryana. Dostrzegł w nich ogień tak duży, że był niemal gotów odwrócić się i wyjść.

– I najważniejsze. Jeśli okaże się, że napastnicy są z Iranu, lub sponsorowani przez Iran, wtedy będzie musiał albo wypowiedzieć wojnę, albo zejść z drogi i pozwolić nam to zrobić. Jeśli to rzeczywiście jest irański atak, a w świetle takiej informacji prezydent nadal będzie udaremniał nasze wysiłki mające na celu zapewnienie ochrony naszemu krajowi

i naszym sojusznikom na Środkowym Wschodzie... Co nam wtedy zostanie? Osobiście zainicjuję procedury usunięcia go z urzędu.

Rozdział 11

6:43 rano

Siedemdziesiąta piąta ulica, blisko Parku Avenue –
Manhattan

Luke siedział z Edem Newsamem z tyłu jednego z SUV-ów należących do agencji. Znajdowali się naprzeciwko cichej otoczonej drzewami ulicy od strony wymyślnego nowoczesnego wieżowca z podwójnymi szklanymi drzwiami i stojącym przy wejściu portierem w białych rękawiczkach. Widzieli jak, portier otworzył drzwi szczupłej blondynce w białym kostiumie, prowadzącej psa. Nienawidził takich budynków.

– Cóż, w tym mieście jest co najmniej jedna osoba, która najwyraźniej nie zbyt przejmuje się atakiem terrorystycznym – powiedział Luke.

Ed osunął się na fotel. Wyglądał na w półprzytomnego. Beżowe spodnie cargo i biały T-shirt oraz jego ostre rysy, głowa jak kula bilardowa i krótko przycięty zarost sprawiały, że ani trochę nie wyglądał na agenta federalnego. Z pewnością nie wyglądał też na kogoś, kogo wpuszczono by do tego budynku.

Luke'a irytowała sama myśl o immunitecie dyplomatycznym Alego Nassara. Miał nadzieję, że Nassar nie będzie sprawiał dużych problemów. Luke nie miał cierpliwości do negocjacji.

Zadzwoił telefon Luke'a. Spojrzał na wyświetlacz i odebrał.

– Trudy – powiedział – w czym mogę pomóc?

– Luke, właśnie otrzymaliśmy nowe informacje – powiedziała. – Ciało, które ty i Don znaleźliście w szpitalu.

– Słucham.

– Trzydziestojednoletni Ibrahim Abdulraman. Libijczyk, urodzony w Trypolis w ubogiej rodzinie. Bardzo niski poziom lub brak formalnej edukacji. Dołączył do armii w wieku osiemnastu lat. Niedługo potem został przeniesiony do więzienia Abu Salim, gdzie pracował przez kilka lat. Był zamieszany w łamanie praw człowiek w więzieniu, w tym w tortury i morderstwo politycznych przeciwników rządu. W marcu 2011, kiedy reżim zaczął chylić się ku upadkowi, pospiesznie opuścił kraj. Najwyraźniej wyczuł niebezpieczeństwo. Rok później pojawił się w Londynie jako ochroniarz młodego saudyjskiego księcia.

Ramiona Luke'a opadły. – Hmm. Libijski oprawca pracujący dla saudyjskiego księcia? W takim razie, kto skończył martwy podczas kradzieży radioaktywnego materiału w Nowym Jorku? Kim naprawdę był ten człowiek?

– Nie miał powiązań eksternistycznych i wygląda na to, że nie miał też silnych przekonań politycznych. Nigdy nie był elitarnym żołnierzem i prawdopodobnie nie przeszedł żadnego szkolenia specjalistycznego. Jak dla mnie był oportunistą, siłą fizyczną do wynajęcia. Zniknął z Londynu dziesięć miesięcy temu.

– Dobrze, podaj mi jeszcze raz jego nazwisko.

– Ibrahim Abdulraman. Ale, Luke? Musisz wiedzieć coś jeszcze.

– Mów.

– Nie znalazłam sama tych informacji. Są na wielkiej tablicy w głównej sali. Ten facet, Myerson z NYPD nie przekazał mi identyfikatorów, kiedy je zdobył i przeprowadził śledztwo na własną rękę. Informacje zostały podane do wiadomości wszystkim oprócz nas. Próbują nas wyeliminować.

Luke spojrzał na Eda i przewrócił oczami. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było wdanie się w idiotyczną rywalizację między agencjami. – W porządku, cóż...

– Posłuchaj, Luke. Trochę się o ciebie martwię. Tracisz tu przyjaciół i wątpię, czy międzynarodowy incydent cokolwiek tu pomoże. Dlaczego nie przekazemy dalej szczegółów transakcji bankowych i nie pozwolimy Ojczyźnie działać? Możemy przeprosić za hackowanie i powiedzieć, że byliśmy nadgorliwi. Jeśli zobaczysz się teraz z dyplomatą, narazisz się na problemy.

– Trudy, już tu jestem.

– Luke...

– Trudy, rozłączam się.

– Próbuję ci pomóc – powiedziała.

Rozłączył się i spojrzał na Eda.

– Gotowy?

Ed prawie wcale się nie ruszył. Wskazał na budynek.

– Jestem do tego stworzony.



– Mogę panom w czymś pomóc? – zapytał mężczyzna, kiedy weszli.

Pod sufitem w przedniej części holu wisiał połyskujący zyrandol. Po prawej była sofa i kilka designerskich krzeseł. Przy lewej ścianie ustawiono długą ladę, za którą stał następny portier. Miał telefon, komputer i morze ekranów. Miał też mały telewizorek, na którym włączony był kanał z wiadomościami.

Mężczyzna wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Jego oczy były czerwone i z widocznymi naczynkami, ale niekoniecznie przekrwione. Włosy miał zaczesane do tyłu i wyglądał, jakby właśnie wyszedł spod prysznica. Luke pomyślał, że pewnie pracuje tu już od tak dawna, że mógłby pić przez całą noc i pracować przez sen. Najpewniej znał z widzenia każdego, kto kiedykolwiek pojawił się w tym budynku i doskonale wiedział, że Luke i Ed nie należą do grona stałych bywalców.

– Ali Nassar – powiedział Luke.

Mężczyzna podniósł słuchawkę telefonu. – Pan Nassar. Apartament na najwyższym piętrze. Kogo mam zapowiedzieć?

Nie mówiąc ani słowa, Ed prześlizgnął się nad ladą i nacisnął widełki telefonu, przez który rozmawiali mężczyźni. Ed był duży i silny jak lew, ale jego ruchy były płynne i pełne wdzięku niczym u gazeli.

– Nie możesz nikogo zapowiedzieć – powiedział Luke.

Pokazał portierowi odznakę. Ed zrobił to samo. – Federalni agenci. Musimy zadać panu Nassarowi kilka pytań.

– Obawiam się, że w tej chwili to niemożliwe. Pan Nassar nie przyjmuje rozmów przed 8 rano.

– Więc dlaczego rozmawiałeś przez telefon? – zapytał Newsam.

Luke zerknął na Eda. To była sprytna odpowiedź. Ed nie był osobą, która dołączyłaby do klubu dyskusyjnego, ale wyglądało na to, że nieźle by sobie radził.

– Oglądałeś wiadomości? – zapytał Luke. – Jestem pewien, że słyszałeś o zaginięciu odpadów radioaktywnych. Mamy powód, aby uważać, że pan Nassar może wiedzieć coś na ten temat.

Mężczyzna patrzył prosto przed siebie. Luke uśmiechnął się. Właśnie zatrzał studnię Nassara. Ten portier był węzłem komunikacyjnym. Nim nastanie nowy dzień, każdy w tym budynku będzie wiedział, że rząd podejrzewa Nassara o działalność terrorystyczną.

– Przepraszam, proszę pana – zaczął mężczyzna.

– Nie musisz przeproszać – powiedział Luke. – Wystarczy, że udzielisz nam dostępu do piętra z apartamentami. Jeśli nie, zostaniesz w tej chwili aresztowany za utrudnianie pracy policji i wyprowadzony stąd w kajdankach. Jestem pewien, że tego nie chcesz. Ja też tego nie chcę. Więc proszę o klucze lub kod, lub cokolwiek, co jest potrzebne, a później będziesz mógł wrócić do swoich zajęć. Miej też na uwadze, że jeśli będziesz majstrować przy windzie, kiedy do niej wsiądziemy, aresztuję cię

nie tylko za utrudnianie. Usłyszysz zarzut współuczestniczenia w czterech morderstwach i kradzieży materiału radioaktywnego. Sędzia ustali kaucję w wysokości dziesięciu milionów dolarów, a ty będziesz pokutować w Rikers Island w oczekiwaniu na proces przez następne dwanaście miesięcy. Czy to brzmi atrakcyjnie dla ciebie... – Luke zerknął na identyfikator mężczyzny.

– John?

*

– Naprawdę zamierzałeś aresztować tego mężczyznę? – zapytał Ed.

Szklana winda przesuwała się okrągłym szklanym szybem w południowo-zachodnim rogu budynku. W miarę jak się wznosili, widok najpierw zapierał dech w piersiach, po czym stał się odurzający. Po chwili im oczom ukazała się rozległa panorama z Empire State Building dokładnie naprzeciwko nich i budynkiem ONZ po lewej. W oddali w porannym słońcu połyskiwał rząd samolotów na podejściu do lotniska LaGuardia.

Luke się uśmiechnął. – Aresztować go za co?

Ed zachichotał. Winda przesuwała się w górę i w górę.

– Człowieku, jestem zmęczony. Właśnie się kładłem, kiedy Don do mnie zadzwonił.

– Wiem – powiedział Luke – ja też.

Ed potrząsnął głową. – Od jakiegoś czasu nie bawiłem się w tę całodobową robotę. Nie tęsknię za tym.

Winda dotarła na ostatnie piętro. Rozległ się przyjemny dźwięk i drzwi się rozsunęły.

Wyszli na szeroki korytarz z wypolerowanymi kamiennymi płytami na podłodze. Jakies dziesięć jardów przed nimi stało dwóch mężczyzn. To byli duzi faceci w garniturach, ciemnoskórzy, pewnie Persowie, a może jakiejś innej narodowości. Pilnowali podwójnych drzwi. Luke się tym nie przejmował.

– Wygląda na to, że nasz portier ich uprzedził.

Jeden z mężczyzn pomachał ręką. – Nie! Musicie zawrócić. Nie możecie tu wejść.

– Agenci federalni – powiedział Luke. Szedł z Edem w ich kierunku.

– Nie! Nie macie tu jurysdykcji. Nie zezwalamy na wejście.

– Chyba nie będę sobie zaprzętał głowy pokazywaniem im odznaki – powiedział Luke.

– No – odparł Ed – nie ma powodu.

– Na mój znak, dobrze?

– Pewnie.

Luke odczekał chwilę.

– Teraz.

Byli pięć stóp od mężczyzn. Luke rzucił się na jednego z nich i wymierzył pierwszy cios. Zdziwił się, jak jego własna pięść zdawała się wolno poruszać. Mężczyzna był o pięć cali wyższy od Luke'a. Miał bary szerokie jak skrzydła wielkiego ptaszyska. Z łatwością zablokował uderzenie i złapał Luke'a za nadgarstek.

Był silny. Przyciągnął do siebie Luke'a.

Luke podniósł kolano do pachwin, ale mężczyzna zablokował ten ruch swoją nogą i przyłożył wielką dłoń do gardła Luke'a. Jego palce zacisnęły się niczym szpony orła wbijające się w ciało ofiary.

Swoją wolną ręką, lewą ręką, Luke dźgnął go w oczy. Palec wskazujący i środkowy, po jednym na każde oko. Nie było to bezpośrednie uderzenie, ale zadziało. Mężczyzna puścił Luke'a i zrobił krok w tył. Oczy mu łzawiły. Mrugnął i potrząsnął głową, po czym się uśmiechnął.

Zanosił się na walkę.

Nagle, niczym duch, pojawił się Newsam. Złapał głowę mężczyzny obiema rękoma i uderzył nią o ścianę. To była bezwzględna brutalność. Niektórzy ludzie uderzają głową przeciwnika o ścianę. Ed zrobił to, jakby próbował przebić nią ścianę.

Łup!

Twarz mężczyzny się skrzywiła.

Łup!

Jego szczeka się poluzowała.

Łup!

Jego oczy się wywróciły.

Luke podniósł rękę. – Ed! Dobrze, chyba wystarczy. Już po nim. Pozwól mu ochłonać. Ta podłoga wygląda na marmurową.

Zerknął na drugiego ochroniarza. Leżał już na ziemi z zamkniętymi oczami, otwartymi ustami i z głową opartą o

ścianę. Ed szybko się z nimi uporał. Luke miał w tym niewiele udziału.

Wyciągnął z kieszeni kilka plastikowych opasek, ukłękął przy swoim ochroniarzu i związał mu nogi w kostkach. Ścisnął je mocno jak u świń na konkurs. Prędzej czy później ktoś przyjdzie i ich rozwiąże. Jednak najpewniej przez godzinę nie będą mieli czucia w stopach.

Ed robił to samo drugiemu ochroniarzowi.

– Trochę zardzewiałeś, Luke – powiedział.

– Ja? Nieee, nikt nie oczekiwał, że będę walczył. Zatrudnili mnie z uwagi na mój mózg. – Nadal czuł ucisk w miejscu, gdzie mężczyzna chwycił go za gardło. Jutro będzie boleć.

Ed potrząsnął głową. – Byłem w Delta Force tak jak ty. Dołączyłem dwa lata po operacji Stanley Combat Outpost w Nurestanie. Ludzie nadal o tym mówili. O tym, jak zrzucili was i musieliście przejąć panowanie. Rano tylko troje ludzi nadal walczyło. Byłeś jednym z nich, prawda?

Luke chrząknął. – Nie jestem świadom istnienia...

– Nie pleć bzdur – odparł Ed. – Upoważniony czy nie, znam historię.

Luke nauczył się wieść życie w hermetycznym schowku. Rzadko mówił o incydencie w pierwszej bazie wojskowej. To było lata temu we wschodnim kącie Afganistanu tak odległym, że samo pojawienie się tam oddziałów miało coś oznaczać. To była zamierzchła przeszłość. Nawet jego żona o tym nie wiedziała.

Jednak Ed był w Delta, więc.... niech będzie.

– Tak – odparł – byłem tam. Zawiodła nas tam zła inteligencja i przerodziło się to w najgorszą noc w moim życiu – Wskazał na dwóch mężczyzn leżących na podłodze.

– To trochę jak w odcinku „Happy Days”. Straciliśmy dziewięciu dobrych ludzi. Tuż przed świtem, skończyła nam się amunicja. – Luke pokręcił głową. – Zrobiło się źle. Większość z nas była do tej pory martwa. Zrobiliśmy to we trzech... Nie wiem, czy naprawdę wróciliśmy. Martinez jest sparaliżowany od pasa w dół. O ile mi wiadomo, Murphy jest bezdomny i często wraca na oddział psychiatryczny w Wirginii.

– A Ty?

– Do dziś śnią mi się koszmary.

Ed związywał nadgarstki ochroniarza. – Znałem chłopaka, który opracowywał raport po tym, jak uprzątnięto teren. Mówił, że naliczyli 167 ciał na tym wzgórzu, nie licząc naszych ludzi. W obwodzie było 21 wrogów, którzy zginęli w wyniku walki wręcz.

Luke spojrział na niego. – Czemu mi to mówisz?

Ed wzruszył ramionami. – Trochę zardzewiałeś. Możesz się do tego przyznać bez wstydu. Możesz być sprytny. Możesz być mały. Jednak nadal jesteś też mięśniami tak jak ja.

Luke głośno się zaśmiał. – Dobrze, zardzewiałem. Ale kogo nazywasz małym? – Śmiejąc się, spojrział na olbrzymią sylwetkę Eda.

Ed też się zaśmiał. Przeszukiwał kieszenie ochroniarzy. Po chwili znalazł to, czego szukał. Kartę do zamka cyfrowego

zamontowanego na ścianie obok podwójnych drzwi.

– Może wejdziemy do środka?

– Proszę przodem – powiedział Ed.

Rozdział 12

– Nie wolno tu wchodzić! – krzyknął mężczyzna – Wynocha! Wynocha z mojego domu!

Stali w szerokim otwartym salonie. Daleko w kącie stał biały fortepian buduarowy, a z okien na całą ścianę rozciągał się spektakularny widok. Do pokoju przedostawało się poranne światło. W pobliżu stała nowoczesna biała sofa, stół i dodatkowe krzesła zsunięte wokół olbrzymiego płaskiego telewizora wiszącego na ścianie. Na przeciwległej ścianie wisiał ogromny, wysoki na dziesięć stóp obraz przedstawiający szalone mazaje i krople w jasnych kolorach. Luke znał się trochę na sztuce. Domyślał się, że był to Jackson Pollock.

– Tak, przeszliśmy już przez to wszystko z facetami w holu – powiedział Luke. – Nie możemy tu być, a jednak... jesteśmy.

Mężczyzna nie był wysoki. Był gruby i przysadzisty. Miał na sobie biały miękki szlafrok i mierzył do nich z dużego karabinu. Broń przypominała stary karabin Browning safari Luke'a, najpewniej ładowany nabojami .270 Winchester. Ta rzecz mogłaby zdjąć jelenia z odległości czterystu jardów.

Luke przesunął się na prawo, Ed na lewo. Mężczyzna kierował broń raz w jedną stronę, raz w drugą, niezdecydowany do kogo mierzyć.

– Ali Nassar?

– Kto pyta?

– Nazywam się Luke Stone. To jest Ed Newsam. Jesteśmy agentami federalnymi.

Luke i Ed otaczali mężczyznę, podchodząc bliżej.

– Jestem dyplomatą związanym z Organizacją Narodów Zjednoczonych. Nie macie tu jurysdykcji.

– Chcemy tylko zadać kilka pytań.

– Wezwałem policję. Będą tu lada chwila.

– Skoro tak, czemu nie odłożysz broni? Słuchaj, to stary karabin. Masz w nim zamek czterotaktowy. Jeśli strzelisz, nie zdążysz przygotować się do następnego strzału.

– Więc zabiję cię, a tamtemu pozwolę żyć.

Wymierzył w kierunku Luke'a, ale ten cały czas przemieszczał się wzdłuż ściany. Podniósł ręce, aby pokazać, że jest bezbronny. W swoim dotychczasowym życiu widział tak wiele wycelowanych w niego luf, że już dawno stracił rachubę. Mimo wszystko nie czuł się najlepiej wobec tej tutaj. Ali Nassar nie wyglądał na strzelca wyborowego, ale jeśli uda mu się oddać strzał, z pewnością zrobi w czymś wielką dziurę.

– Na twoim miejscu zabiłbym tego wielkiego mężczyznę, o tam. Bo trudno opisać, co ci zrobi, jeśli mnie zabijesz. Lubi mnie.

Nassar się nie wahał. – Nie. Zabiję cię.

Ed był już w odległości dziesięciu stóp od mężczyzny. Pokonał dystans w mgnieniu oka. Odepchnął lufę w górę w tej samej chwili, kiedy Nassar pociągnął za spust.

BUM!

Przestrzeń apartamentu wypełnił głośny wystrzał, a kula

zrobiła otwór w białym suficie.

Ed jednym ruchem wyrwał broń, uderzył Nassara w szczękę i posadził go na jednym z dodatkowych krzesel.

– Dobrze, usiądźmy. Ostrożnie, proszę.

Nassar nie wyszedł jeszcze ze wstrząsu po uderzeniu. Minęło kilka sekund, zanim odzyskał wzrok. Przyłożył pulchną dłoń do czerwonej plamy rosnącej na jego szczęce.

Ed pokazał Luke'owi karabin. – Co ty na to? – Był bogato zdobiony, z magazynkiem wysadzonym perłami i wypolerowaną lufą. Najpewniej jeszcze przed kilkoma minutami wisiał gdzieś na ścianie.

Luke przeniósł swoją uwagę na mężczyznę siedzącego na krześle. Zaczął od początku.

– Ali Nassar?

Mężczyzna wyduł wargi. W złości wyglądał tak samo, jak Gunner, syn Luke'a, kiedy miał cztery lata.

Kiwnął głową. – Bez wątpienia.

Luke i Ed podeszli szybko, nie tracąc czasu.

– Nie możecie mi tego zrobić – powiedział Nassar.

Luke zerknął na zegarek. Była 7 rano. Gliny mogły pojawić się w każdej chwili.

Przenieśli go do biura tuż przy głównym salonie. Zdjęli mu szlafrok. Zdjęli mu kapcie. Został w samej białej bieliźnie. Wystawał tylko jego wielki brzuch napięty niczym werbel. Posadzili go w fotelu, do którego przywiązali go za nadgarstki i kostki.

W biurze stało biurko ze staromodnym komputerem stacjonarnym z bazą i oddzielnym monitorem. Procesor był w środku solidnej stalowej skrzynki przytwierdzonej do kamiennej podłogi. Nie było żadnego widocznego otwarcia, zamka, drzwiczek. Nie było niczego. Żeby dostać się do dysku twardego, spawacz musiałby rozciąć skrzynkę. Nie było na to czasu.

Luke i Ed stanęli nad Nassarem.

– Masz anonimowe konto w Royal Heritage Bank na Wielkim Kajmanie – powiedział Luke. – 3 marca przelałeś 250 000 dolarów na konto należące do Kena Bryanta. Zeszłej nocy Ken Bryant został uduszony w apartamencie w Harlem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jesteś pracodawcą niejakiego Ibrahima Abdulramana, który zmarł dziś rano w podziemiach Center Medical Center. Został postrzelony w głowę, kiedy kradł materiał radioaktywny.

Na moment na twarzy Nassara pojawił się cień reakcji.

– Nie znam tego człowieka.

Luke wziął głęboki oddech. Normalnie miałby kilka godzin na przesłuchanie tego typu podejrzanego. Dziś miał kilka minut. To oznaczało, że musi użyć małej sztuczki.

– Dlaczego twój komputer jest przykręcony do podłogi?

Nassar wzruszył ramionami. Zaczynał odzyskiwać pewność siebie. Luke niemal widział, jak to uczucie napływa z powrotem. Ten człowiek wierzył w siebie. Myślał, że uniemożliwi im działanie, grając na zwłokę.

– Jest tam mnóstwo poufnych dokumentów. Mam klientów

zaangażowanych w transakcje biznesowe dotyczące własności intelektualnej. Jestem także, jak już mówiłem, dyplomatą należącym do ONZ. Od czasu do czasu otrzymuję informacje, które są... Jakby to nazwać? Sklasyfikowane. Piastuję te stanowiska, ponieważ jestem znany z mojej dyskrecji.

– Możliwe – powiedział Luke – ale będziesz musiał podać mi hasło, żebym mógł sam to zobaczyć.

– Obawiam się, że to nie możliwe.

Ed roześmiał się za plecami Nassara. Brzmiało to jak chrząknięcie.

– Możesz być zaskoczony, kiedy dowiesz się, co jest możliwe – odparł Luke. – Prawda jest taka, że skorzystamy z tego komputera. A ty dasz nam hasło. Są na to dwa sposoby: łatwy i trudny. Wybór należy do ciebie.

– Nic mi nie zrobicie – powiedział Nassar. – Już macie wielkie kłopoty.

Luke spojrział na Eda. Ed przesunął się i uklęknął przy prawym boku Nassara. Złapał prawą rękę Nassara w swoje dwie silne dłonie.

Luke i Ed spotkali się po raz pierwszy ubiegłej nocy, ale już zaczęli rozumieć się bez słów. Zupełnie jakby czytali sobie w myślach. Luke doświadczał tego już wcześniej, zazwyczaj z ludźmi, z którymi przeprowadzał specjalne operacje w takich jednostkach jak Delta. Jednak rozwinięcie takich relacji na ogół zabierało więcej czasu.

– Grasz na tym fortepianie? – zapytał Luke.

Nassar przytaknął. – Zostałem klasycznie wykształcony. Kiedy byłem młody, dawałem koncerty fortepianowe. Nadal zdarza mi się grać w wolnych chwilach.

Luke przykucnął i tym samym jego oczy znalazły się na tej samej wysokości co Nassara.

– Za chwilę Ed zacznie łamać ci palce. Utrudni to grę na fortepianie. I będzie bolało, pewnie całkiem mocno. Nie jestem pewien, czy jest to rodzaj bólu, do którego przywykł taki człowiek jak ty.

– Nie zrobicie tego.

– Za pierwszym razem policzę do trzech. To da ci chwilę na zdecydowanie, co chcesz zrobić. W przeciwieństwie do ciebie ostrzegamy ludzi, zanim ich skrzywdzimy. Nie kradniemy materiału radioaktywnego i nie zamierzamy zabić milionów niewinnych ludzi. Cholera, w porównaniu do tego, jak krzywdzisz innych, łatwo się z tego wyliżesz. Jednak następnym razem nie będzie ostrzeżeń. Spojrzę tylko na Eda, a on złamie ci następny palec. Rozumiesz?

– Wylecisz za to z roboty – powiedział Nassar.

– Jeden.

– Jesteś małym człowieczkiem bez żadnej władzy. Pożałujesz, że tu przyszedłeś.

– Dwa.

– Nie ośmielisz się!

– Trzy.

Ed złamał mały palec Nassara na wysokości drugiego

knykcia. Zrobił to szybko i z niewielkim wysiłkiem. Luke usłyszał ciche chrupnięcie tuż przed krzykiem Nassara. Mały palec był wygięty na bok. Było coś niemal obscenicznego w tym kącie.

Luke ujął Nassara za podbródek i uniósł jego głowę. Mężczyzna zgrzytał zębami, był czerwony na twarzy i z trudem łąpał powietrze. Tylko jego wzrok był ostry.

– To był tylko mały palec – powiedział Luke. – Następny jest kciuk. Kciuki bołą o wiele bardziej niż małe palce. Kciuki są też ważniejsze.

– Bydlaki. Nic wam nie powiem.

Luke spojrzał na Eda. Miał kamienną twarz. Wzruszył ramionami i złamał kciuk. Tym razem chrupnięcie było głośniejsze.

Luke wstał i pozwolił mężczyźnie przez chwilę się wydzierać. Jego wrzaski rozsadały bębunki. Słyszał, jak dźwięk odbija się echem po całym apartamencie, niczym w horrorze. Może powinni poszukać ręcznika w kuchni i użyć go jako knebla.

Rozejrzał się po pokoju. Nie lubił takich rzeczy. To były tortury, wiedział o tym. Tyle że palce mężczyzny się zagoją. Jeśli brudna bomba wybuchnie w metrze, wiele osób zginie. Ci, którzy przeżyją, zachorują. Nikogo nie będzie można wyleczyć. Mając do wyboru te dwie opcje, palce mężczyzny i martwych ludzi w metrze, łatwo było podjąć decyzję.

Nassar płakał. Jasna wydzielina płynęła z jednego z jego nozdrzy. Oddychał jak szaleniec. Brzmiało to jak uch-uch-uch-

uch.

– Spójrz na mnie – powiedział Luke.

Mężczyzna zrobił, co mu kazano. Jego wzrok już nie był srogi.

– Widzę, że kciuk przykuł twoją uwagę, więc jako następny wybierzemy lewy kciuk. Później zajmiemy się zębami. Ed?

Ed przeszedł na lewą stronę mężczyzny.

– Kahlil Gibran – wysapał Nassar.

– Co? Nie słyszałem.

– Kahlil podkreślnik Gibran. To jest hasło.

– Tak jak ten autor? – zapytał Luke.

– Tak.

– „Cóż to znaczy pracować z miłością?” – Ed zacytował Gibrana.

Luke się uśmiechnął. – „To odzież tkac nicia z własnego serca wysnutą, jakby umiłowanemu miała za szatę posłużyć”. Mam taki napis na ścianie w kuchni. Lubię takie rzeczy. Domyślam się, że jesteśmy trojgiem niepoprawnych romantyków.

Luke podszedł do komputera i przesunął palcem po touchpadzie. Wyświetlił się komunikat z prośbą o podanie hasła. Wpisał wyrazy.

Kahlil_Gibran

Pojawił się pulpit. Na tapecie były przykryte śniegiem góry na tle żółtozielonych łąk.

– Wygląda na to, że mamy już wszystko, co trzeba. Dzięki, Ali.

Luke wyciągnął z kieszeni na udzie swoich cargo spodni

zewewnętrzny dysk twardy, który dostał od Swanna. Podłączył go do portu USB. Dysk zewnętrzny miał olbrzymią pojemność. Cała zawartość komputera dyplomaty powinna bez problemu się na nim zmieścić. Później będą się martwić o złamanie szyfrów.

Zaczął kopiować pliki. Na ekranie wyświetlił się pusty poziomy pasek, który po chwili zaczął wypełniać się od lewej zielonym kolorem. Trzy procent, cztery procent, pięć procent. Pod paskiem szalała burza nazw plików, wyświetlających się i znikających w miarę jak kolejne pliki były kopiowane na docelowy dysk.

Osiem procent. Dziewięć procent.

Za drzwiami głównego pokoju dało się słyszeć nagłe poruszenie. Drzwi otworzyły się z hukiem. Policja! – ktoś krzyknął. – Rzuć broń! Na ziemię!

Przemieszczała się przez apartament, wywracając wszystko i kąpiąc w drzwi. Brzmiało to, jakby było ich mnóstwo. Wpadną tu lada chwila.

– Policja! Na ziemię! Na ziemię! Padnij!

Luke zerknął na poziomy pasek. Wyglądał, jakby utknął na dwunastu procentach.

Nassar gapił się na Luke'a. Miał zapuchnięte powieki i łzawił. Trzęsły mu się usta. Był czerwony na twarzy, ale jego prawie nagie ciało było złane potem. Ani trochę nie wyglądał na mściwego czy triumfującego.

Rozdział 13

7:05 rano

Baltimore, Maryland – południowa część tunelu Fort McHenry

Eldrick Thomas obudził się ze snu.

We śnie był w małej chatce wysoko w górach. Powietrze było czyste i zimne. Wiedział, że śni, ponieważ nigdy wcześniej nie był w takiej chatce. Wewnątrz, w kamiennym kominku, palił się ogień. Od ognia biło ciepło, więc trzymał dłonie nad płomieniami. Z pokoju obok dochodził głos jego babci. Śpiewała starą kościelną pieśń. Miała piękny głos.

Otworzył oczy na światło dzienne.

Wszystko go bolało. Dotknął swojej klatki piersiowej. Była lekka od krwi, ale postrzały go nie zabiły. Był chory na chorobę popromienną. Pamiętał o tym. Rozejrzał się dookoła. Leżał w błocie, otoczony przez gęste krzewy. Po jego lewej znajdowało się mnóstwo wody, rzeka albo jakaś przystań. Gdzieś niedaleko było słycać szum autostrady.

Ezatullah go gonił. Tylko że to było... dawno temu. Już na pewno stąd poszedł.

– No dalej, człowieku – wychrypiał. – Musisz się ruszyć.

Byłoby łatwo po prostu tu zostać. Jednak jeśli tak zrobi, umrze. Nie chciał umrzeć. Już nie chciał być dżihadystą. Chciał po prostu żyć. Nawet jeśli miał spędzić resztę życia w więzieniu,

nie byłoby źle. Więzienie było w porządku. Nie było tak złe, jak twierdzą ludzie.

Spróbował wstać, ale nie czuł nóg. Kompletny brak czucia. Przekreślił się na brzuch. Ból przeszył jego ciało niczym impuls elektryczny. Oddalił się w ciemną głębię. Czas mijał. Po chwili wrócił. Nadal tu był.

Zaczął się czołgać, chwytając rękoma za brud i błoto i w ten sposób się przesuwać. Podciągnął się na wzgórze. Na to samo wzgórze, z którego spadł zeszłej nocy. Na wzgórze, które prawdopodobnie uratowało mu życie. Płakał z bólu, ale się nie zatrzymywał. Miał gdzieś ból, chciał tylko wspiąć się na wzgórze.

Minęło dużo czasu. Leżał twarzą w błocie. Krzewy były tutaj nieco mniej gęste. Rozejrzył się. Był teraz nad rzeką. Dziura w płocie była dokładnie naprzeciw niego. Poczłgał się w jej stronę.

Zaklinował się w płocie, kiedy się przez niego przeciskał. Krzyknął z bólu.

Niedaleko dwóch starych czarnych mężczyzn siedziało na białych wiadrach. Eldrick widział ich wyjątkowo wyraźnie. Jeszcze nigdy nie widział nikogo tak dokładnie. Mieli wędki, pudła wędkarskie i wielkie białe wiadro. Obok stała duża niebieska chłodziarka na kółkach. Były też białe papierowe torby i styropianowe tacki śniadaniowe z McDonalda. Za nimi stał stary zardzewiały Oldsmobile.

Żyli w raju.

„Boże, proszę, pozwól mi być nimi”.

Kiedy krzyknął, mężczyźni podbiegli do niego.

– Nie dotykajcie mnie! – krzyknął. – Jestem skażony.

Rozdział 14

7:09 rano

Biały Dom – Waszyngton, DC

Thomas Hayes, prezydent Stanów Zjednoczonych, stał w luźnych spodniach i koszuli sportowej przy kuchennym blacie w kuchni rodzinnej w Białym Domu. Zdejmował skórkę z banana i czekał, aż zaparzy się kawa. Kiedy był sam, wołał przyjść tu po cichu i zrobić sobie proste śniadanie. Nie nałożył jeszcze nawet krawata. Był na bosy. I w otoczeniu ciemnych myśli.

„Ci ludzie zjedzą mnie żywcem”

Myśl była intruzem w jego głowie i w ostatnich dniach pojawiała się coraz częściej. Kiedyś był największym optymistą, jakiego znał. Od swoich pierwszych dni zawsze zbierał najwięcej pochwał i wszędzie czuł się jak u siebie. Najlepszy w klasie w liceum, kapitan drużyny wioślarskiej, przewodniczący samorządu studenckiego. Summa cum laude na Yale, summa cum laude na Stanford. stypendysta Fulbrighta. Prezydent Senatu stanu Pensylwania. Gubernator Pensylwanii.

Zawsze wierzył, że potrafi znaleźć dobre rozwiązanie każdego problemu. Zawsze wierzył w siłę jego przywództwa. Co więcej, zawsze wierzył we wrodzoną dobroć ludzi. Te sprawy przestały być prawdą. Pięć lat w biurze pokonało cały jego optymizm.

Mógł pracować do późna. Radził sobie z różnymi departamentami i bezkresną biurokracją. Do niedawna był na

przyzwoitych warunkach w Pentagonie. Mógł żyć z Secret Service nieodstępującym go na krok przez 24 godziny na dobę i wtrącającym się w każdy aspekt jego życia.

Radził sobie nawet z mediami i ich prostackimi atakami. Mógł żyć z tym, jak sztychali z jego „wychowania country club” oraz z tym że był „zamożnym liberałem”, który ponoć nie umiał nawiązać kontaktu ze zwykłymi ludźmi. Problemem nie były media.

Problemem była Izba Reprezentantów. Byli niedojrzali. Kretyni. Sadyści. Banda wandalów zdecydowanych zdemontować go i wyrzucić, kawałek po kawałku. Zupełnie jakby Dom był kongresem studentów gimnazjum, ale takim, w którym dzieci wybrały na przedstawicieli najgorszych młodocianych przestępców w szkole.

Główny nurt Republikanów był hordą szalejących średniowiecznych barbarzyńców, a Partię Herbacianą tworzyli rzucający bomby anarchiści. Tymczasem, bliżej domu, lider mniejszości w Izbie Reprezentantów dążył tylko do własnej przyszłości w Gabinetcie Ovalnym i wcale nie ukrywał, że najchętniej wepchnąłby obecnego prezydenta pod koła autobusu. Demokraci z Blue Dog byli dwulicowymi zdrajcami – w jednej chwili wylewni i nieszczerzy prowincjusze, a już za chwilę wściekli biali ludzie psioczący na Arabów, imigrantów i przestępczość miejską. Każdego ranka Thomas Hayes budził się umocniony w przekonaniu, że krąg jego przyjaciół i sprzymierzeńców maleje z godziny na godzinę.

– Słyszysz mnie, Thomas?

Hayes podniósł wzrok.

David Halstram, szef sztabu Białego Domu, stał przed nim w pełni ubrany i wyglądający jak zawsze – obudzony, energiczny, w pełni żyw, walczący i gotów na więcej. David miał 34 lata i pracował tu dopiero od dziewięciu miesięcy. Dajmy mu czas.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytał Hayes.

– Jakieś dwadzieścia minut temu – odpowiedział David. – Jest już hitem na portalach społecznościowych, a stacje telewizyjne przepychają się, żeby zebrać gości do debat w porannych programach. Ta sprawa nie ucichnie szybko. Będąc między spikerem Ryanem, kryzysem irańskim a terrorystami w Nowym Jorku, jesteśmy teraz w bardzo złym położeniu.

Hayes zacisnął prawą dłoń w pięść. W swoim życiu uderzył dwóch ludzi, nie mniej, nie więcej. Oba przypadki wydarzyły się dawno temu, kiedy był uczniakiem. Teraz chciał, żeby Reprezentant Bill Ryan został jego numerem trzy.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.